



# ODGŁOSY

ROK XIX NR 26 (968)

24 CZERWCA 1976 R.

CENA 3 ZŁ



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

## OBLICZE KAPITALIZMU

KRZYSZTOF  
POGORZELEC

## KONIEC MITU

JESZCZE DWA — TRZY MIESIĄCE TEMU ZACZĘTO STAWIĆ OPTYMISTYCZNE PROGNOZY, A NIEKTÓRZY, CO BARDZIEJ W GORĄCEJ WODZIE KAPANI, TRIUMFALNIE OBWIESCILI: KONIEC KŁOPOTÓW Z GALOPUJĄCĄ INFLACJĄ, ZA PROGIEM ŚWIATA KAPITALISTYCZNEGO STOI NOWY BOOM GOSPODARSTWA. TYMCZASEM...

Pod koniec marca bieżącego roku amerykański tygodnik specjalizujący się w problemach światowej gospodarki — „BUSINESS WEEK” w jednej ze swoich publikacji oceniających aktualne perspektywy ekonomiczne państw Zachodu postawił taki horoskop:

„W wydarzeniach gospodarczych i politycznych państw Zachodu pełno było w ciągu ostatnich paru tygodni oznaczeń nadciągania jakichś zasadniczych zmian. Oto tylko kilka przykładów:

- Najpierw Wielka Brytania postanowiła dopuścić do ponownego spadku kursu funta szterlinga — o ok. 5,5 proc., co zepchnęło również notowanie franka francuskiego — o 5,8 proc.
- Ustąpienie brytyjskiego premiera — Harolda Wilsona, było wyrazem nie tyle rozłamu wewnątrz Partii Pracy, ale odzwierciedleniem głębokich problemów gospodarczych, inflacji nękającej ten kraj.
- We Francji kłopoty ekonomiczne mogą bardzo poważnie załamać na politycznych losach prezydenta Valerego Giscard d'Estaing.

Dalszy ciąg na str. 3



## SIERADZ

EUGENIUSZ IWANICKI

## ALE TO SIĘ OPŁACA

Kiedy rozpisano konkurs na nazwę nowo powstających Zakładów Przemysłu Dzwierskiego, jeden z pracowników wyszedł w starych annałach, że przed wiekami, a kolebki swoich dzieł, Sieradz nazywano „Sira”. Otrzymał za to nagrodę — bodaj czajnik z gwizdkiem. Było to przecież całe dwadzieścia lat temu! Już historia.

Siedzimy w małym gabinecie kierownika dzwiarni. Stary mistrz przypomina mi silnych ludzi z kowbojskich filmów. Mówi uśmiechając się. Wygląda na człowieka bywałego, co to nie z jednego pieca chleb jadł, niejedno widział, lecz zawsze był w zgodzie z własnym sumieniem i z poczuciem obowiązku.

Początkowo miała to być centralna farbiarnia dla branży dzwiarskiej z całego kraju, ale wkrótce zmieniono plany i tak powstała fabryka. Budowę rozpoczęto w 1951 roku, w cztery lata później, w pierwszym wykończonym budynku zainstalowano kilka maszyn dzwiarskich i podjęto szkolenie przyszłych kadr produkcyjnych. Przy stanie zatrudnienia 58 osób dostarczono na rynek pierwszą partię wyrobów dzwiarskich w ilości 9000 sztuk! Rozpoczęto od wyrobów bawełnianych, potem był jedwab, teraz wyłącznie syntetyki. Dziś „Sira” jest jednym z większych zakładów w branży dzwiarskiej. Wartość roczna produkcji — 2.100 tys. zł. Ilość — 11.400 tys. sztuk. Ubioru damskie i młodzieżowe wierzchnie: bluzki, sukienki, tuniki, spodnie, ubiory nocne damskie i młodzieżowe.

— Dla mnie miernikiem powodzenia tego, co oferujemy klientowi — mówi dyrektor naczelny, Zbigniew Smok — są zamówienia na rynek krajowy i zagraniczny. Jeszcze ciągle brakuje wyrobów dzwiarskich. Lecz przyjdzie czas, kiedy towaru będzie pod dostatkiem, a wówczas o powodzeniu zaczną decydować: jakość wyrobu, jego atrakcyjność, modny fason. Jak dotąd wyroby „Siry” z powodzeniem wytrzymują konkurencję firm zachodnioeuropejskich czy amerykańskich.

Prawie 50 procent produkcji ogólnej „Siry” przeznaczają się na eksport. Wartość eksportu w roku bieżącym wyniesie 23 mln zł dewizowym. Głównymi odbiorcami wyrobów są Anglia, Kanada, USA, RFN, Libia, Francja, ZSRR, Węgry, CSRS i kraje skandynawskie.

Idę przez podwórze wzdłuż budynku, za którego ścianami trwa akordowa praca. Lecz zanim wejść na hale pełne turkotających maszyn, do dusznych od wysokiej temperatury farbiarni czy drukarni, zanim pokażą mi zawalone po suficie magazyny surowca, chcę czegoś dowiedzieć się o organizacji zakładu, o ludziach sprawujących władzę nad tymi tysiącami dziewcząt pochylonych nad maszynami.



Chcę wiedzieć, co zakład oprócz zarobków daje ludziom?

— Ktoś w rozmowie rzucił zdanie, że średnia wieku w „Sircie” przekroczyła trzydziestkę.

— Jak to? — pytam. — Mówiło się tu, że co roku przyjmuje się do pracy 70—80 młodych dziewcząt, prosto ze szkół?

Młoda kadra dla „Siry” rekrutuje się ze szkół, prowadzonych przez zakład: przyzakładowej szkoły zawodowej, dającej co roku 70—80 szwaczek, Wieczorowego Technikum dla Pracujących (w tym roku pierwszy maturzyści), Technikum Włókienniczego, średniego Studium Zawodowego — dla tych pracowników, którzy chcą uzupełnić średnie wykształcenie.

Dzwirnarnia. Tu pracuje jeden z tych, który był przy narodzinach „Siry”. Kiedy zapytałem zastępcę dyrektora do spraw ekonomicznych, mgr Henryka Glińskiego, o najlepszego mistrza w zakładzie, bez wahania powiedział:

— Jan Wypchło, mistrz dzwiarni ośnawowej.

— Słyszałem, że odchodzi pan z „Siry”?

— Czy to moja wina, że czas nie stoi w miejscu? Trzeciego lipca rozpoczynam żywot emeryta. Jestem na finiszu, kończę się. Nogi nie wytrzymują. Bo u mnie tak się jakoś zbiegło wszystko razem: 25 czerwca — 65 lat życia i 50 lat pracy, 26 czerwca — 31 lat pracy w Polsce Ludowej, 3 lipca — 20 lat pracy w „Sircie”.

— Jakże były początki?

— Był tu jeden budynek, taki domek szkoleniowy, było sześć maszyn ośnawowych i sześć interlok. Przyszłym jako trzeci mistrz do obsługi tego typu maszyn. Trzeba było szkolić ludzi. A ludzie byli różni. Ten po szkole podstawowej, inny po zawodówce. Bywało, podszkołę, a go cap — i do wojska! Niektórzy wrócili i są tu do dziś.

Jak tu była budowa, to w biurcu do południa było biuro, a po południu zamieniało się na sypialnię dla pracowników dyrekcji. Dookoła doty, kupy gliny, wykopy, ludzie po ciemku walili się do tych dołów, a nie daj Boże po pijanemu...

Dalszy ciąg na str. 5

## PLASTYKA

KONRAD  
FREIDLICH

## BEZ SZTUKI DZIEŃ JEST KRÓTSZY

Z plakatów, ulotek, ekranów kin spoziera na widza barwne oko: graficzny znak akcji ZPAP i BWA. Szeroko otwarta żrenica patrzy ostro i przenikliwie. Fabryczne radiowęzły głoszą wszem i wobec:

„Łódzkie środowisko artystów plastyków już po raz drugi urządza Tydzień Plastyki Łódzkiej żywiąc nadzieję, że impreza ta znajdzie żywy oddźwięk w najszerszych kręgach społecznych naszego miasta. Tegoroczny Tydzień Plastyki odbywa się pod hasłem „Sojusze świata pracy z kulturą i sztuką”. Jak sądzimy więc ta nie jest pustym frazesem, lecz wypełnia ją żywa treść stanowiąca o poziomie kultury społecznej i sile oddziaływania sztuki na masowego odbiorcę. Wierzmy, że przedsięwzięte przez łódzkie środowisko plastyków działania propagujące dorobek twórcy znajdują szeroki rezonans pozwalając na bliższy i bardziej bezpośredni kontakt pomiędzy twórcą a odbiorcą. Sądzimy, że wystawy i wszelkiego rodzaju prezentacje artystyczne będą stanowić okazję do bardziej bezpośrednich kontaktów, a satysfakcje stąd wynikną dla stron obu.”

Te prezentacje to kiermasze, aukcja, plebiscyt na wyróżniające się dzieło, projekcje filmów o sztuce. A więc, używając młodopolskiego określenia, „malaria” ostro wzięła się do rzeczy, wyszła w miasto. Przebieierać, wybierać ile dusza zapagnie. Wybieram aukcje.

Dalszy ciąg na str. 5

ŚWIĘTO

PARTYJNEGO PISMA

Tradycją stało się już, że w połowie czerwca „Głos Robotniczy” — gazeta partyjna, obchodzi swoje święto. Jest to przede wszystkim święto Cytelników „Głosu Robotniczego”, dla nich organizowane przez zespół tej gazety, w którym uczestniczą różne instytucje i znani, popularni i lubiani aktorzy i piosenkarze.

Tegoroczne święto „Głosu Robotniczego” rozpoczęło się w sobotę, 19 czerwca 1976 roku. Rozpoczęło się ono tradycyjnym też spotkaniem zespołu gazety z ludźmi inicjatyw społecznych i dobrej roboty. W spotkaniu tym udział też wzięli między innymi: I sekretarz KL PZPR —

B. Koperski, zastępca kierownika Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR — J. Grzelak, wiceprezes ZG RSW „Prasa — Książka — Ruch” — W. Bek, sekretarz KL PZPR — Z. Faliński, sekretarz komitetów wojewódzkich PZPR w Sieradzu — J. Dębowski i w Piotrkowie

Tryb. — E. Szewczyk, Prezydent m. Łodzi — J. Lorens, wojewoda piotrkowski — L. Wysocki i wojewoda sieradzki — T. Barczyk.

Na konkurs „Głosu Robotniczego” nadesłano z województw łódzkiego, sieradzkiego, skierniewickiego i piotrkowskiego 165 kandydatów ludzi dobrej roboty i społecznych inicjatyw. Na sobotnim spotkaniu dyplomy i nagrody otrzymało 44 osób, wyłonionych przez jury konkursu.

Gratulując wyróżnionym I sekretarz KL PZPR — B. Koperski podkreślił rolę partyjnej gazety, która na swoich łamach pokazuje i powinna nadal pokazywać jak wielkie społeczne rezerwy tkwią w ludzkich inicjatywach.

W sobotę też odbył się tradycyjny koncert organizowany przez „Głos Robotniczy” ludźmi dobrej roboty. Przed publicznością zgrupowaną w Hall Sportowej wystąpiło przeszło 100 wykonawców. Widzowie i słuchacze tego koncertu mogli podziwiać między innymi Reprezentacyjny Zespół Tańca ZPB im. Sz. Harnama, Reprezentacyjny Zespół Estradowy Pomorskiego Okręgu Wojskowego „Czarne berety” oraz zespół „Hellen”. Przed publicznością zgrupowaną w Hall Sportowej wystąpili też popularni soliści. Koncert prowadzili: Edyta Wojteczak, Marek Barbasiewicz i Jan Zdrojewski.

A następnego dnia, czyli w niedzielę, 20 czerwca 1976 roku, na Zdroziu odbył się również już tradycyjny festyn. I tu —

jak co roku — było na co popatrzeć, było czego posłuchać. Na estradach występowały zespoły, i te, które zdobyły sobie uznanie w sobotę na koncercie, i wiele innych oraz liczna rzesza solistów i zespołów muzycznych. Wśród występujących na estradach Parku na Zdroziu byli też goście z Karl-Marx-Stadt, artyści estradowi NRD.

Były również liczne imprezy rozrywkowe, zawody, pokazy, kiermasze. Było tłoczno, wesoło, przyjemnie. I choć nie było słońca, to pogoda nie zawładła zespołu „Głosu Robotniczego”, była akurat taka, jaka najlepsza jest na festynie, nie było upalnie, nie było gorąco, ale nie było deszczu i nie było zimno.

Imprezy „Głosu Robotniczego”, szczególnie te, które odbywają się na Zdroziu dowodzą, że łodzianom, a także mieszkańcom sąsiednich województw potrzebny jest taki odpoczynek połączony z dobrą rozrywką. Święto „Głosu Robotniczego” bywa jednak tylko raz do roku.

W sobotę Park Kultury i Wypoczynku na Zdroziu wzbogacił się o kąpielisko „Fala”. Powstało ono w czynnie społecznym. Przeznaczone jest dla 4 tys. osób, zajmuje teren 7 ha, a powierzchnia basenów liczy przeszło 4 tys. metrów kwadratowych.

Oddanie do użytku kąpieliska „Fala” wzbogaciło znacznie stan posiadania Parku Kultury i Wypoczynku na Zdroziu.

MR

JEDNO PYTANIE

W latach 1974—75 „Odgłosy” opublikowały cykl szkiców krytycznych poświęconych literaturze naszego miasta. Ta seria artykułów nosiła tytuł „Słownik pisarzy łódzkich”. Obecnie chcemy ten cykl kontynuować w lżejszej formie. Zadając pisarzom jedno tylko pytanie, spodziewamy się, że wyniki naszej ankiety zaktualizują „słownik” i ukażą łódzkie środowisko literackie z nowej strony. Dotychczas wypowiedzieli się: W. Orłowski, W. Rymkiewicz, M. M. Szargan, J. Wilmański, R. Binkowski, J. H. Wiśniewski, T. Giegier, T. Chrościelewski, K. Obidniak, E. Ostrowska, E. Kopczyński, A. Makowiecki, E. Iwanicki, J. Wawrzak, K. Frejdlch, E. Szuster, J. Skoszkiwicz i W. Jajzdzyński.

Dzisiaj wypowiedzi ostatnie. Do dalszej części wypowiedzi łódzkich pisarzy wrócimy po wakacjach.

— CZY RZECZYWIŚCIE MA PAN TRESOWANEGO MOTYLA?

Odpowiada JAN CZARNY  
Trudno żebym to pytanie traktował dosłownie, entomologicznie. „Tresowany Motyl” — to tytuł jednej z moich książek. Zawarte w niej opowiadania „skażone są” groteską, jak prawie wszystko, co wychodzi spod moich rąk, a więc: proza, wiersze, fraszki, rysunki. W tym pytaniu chodzi więc zapewne o znaczenie groteski w moim piśmarstwie lub w ogóle w literaturze, w sztuce. Czym ona jest, jak ją się robi? Otóż ja groteski nie robię. Groteska jest funkcją mojego piśmarstwa albo może nawet i życia. Spozstrzegam ją dopiero przy którejś tam lekturze napisanych przeze mnie rzeczy. Chcę wszystko wyrazić jak najpoważniej. Słowo daje... Ale jakiś Demon Groteski mąci mi w wiecznym piórze atrament. Nie chce się bawić w teoretyka sztuki ale zaryzykuje twierdzenie, że np. w aktorstwie Chaplina nie najważniejsze są, tak charakterystyczne dla tego aktora, groteskowe rekwizyty, słynny wąsik, melonik, laseczka, za duże buty, i wreszcie, krok i sposób skręcania na ulicy. Czasami zastanawiam się, czy groteska nie jest kamuflażem, zabiegiem formalnym, idiomem, pozwalającym w celniejszy sposób mówić o rzeczach ważnych. Nie chcę być nigdy tylko „opisywaczem” życia. Życie na ogół znane jest dość dobrze szerokim rzeszom z codziennej praktyki. Ale żeby powiedzieć coś istotnego na temat życia, nie rozwiązać ale zaledwie zasygnalizować jakiś problem, trzeba uruchomić całą machinę formalno-literacką. Pomaga mi w tym moja praktyka poetycka, fraszkopisarska, jak również i to, że maluję. Te dyscypliny uczyły mnie na wartość znaczeniową i wziętość języka, na jego barwę. Nie pozwalają mi, ot tak, po prostu pisać. Ważny jest dobór odpowiedniej, adekwatnej w stosunku do tematu struktury. Można by tu mówić o swoistym realizmie języka, jego faktury i barwy. Te wszystkie elementy służą właśnie grotesce, nie mówiąc już o innych zabiegach przeprowadzanych mniej lub więcej świadomie.

— CZEGO MOŻNA SIĘ DOWIEDZIEĆ O WSI ZE WSPÓL-CZESNEJ POLSKIEJ PROZY?

Odpowiada TADEUSZ PAPIER  
Pytanie dotyka wielu zagadnień związanych z tak zwanym nurtem ludowym we współczesnej polskiej prozie. Z konieczności ograniczę się tylko do jednego problemu, zaznaczając zresztą na wstępie, i nie wiem, czy zdołam go rozwiązać, bowiem mamy do czynienia z tak bogatym materiałem, że nadaje się on do szerszej rozprawy, a nie krótkiego wywiadu. Kraj nasz od ogłoszenia Manifestu Lipcowego stał się widowiskiem głębokich przeobrażeń, zmieniając się z dnia na dzień krajobraz, wyrastają na oczach nowe miasta, dojrzejają ludzie. Nie ma już prawie w Polsce wsi, która by nie miała swoich inżynierów, nauczycieli, lekarzy. Setki tysięcy osób uzyskało wyższe wykształcenie, a chyba ponad milion średnie. To właśnie jeden z najwybitniejszych orędowników nurtu ludowego, Julian Kawalec, powiedział kiedyś, że tematem, który ma przyszłość we współczesnej literaturze, jest wieś i chłop (a może należałoby wreszcie zamiast o chłopach pisać o rolnikach; jeden z tomów Młodego Pokolenia Wsi Polskiej Ludowej nosi tytuł: „Od chłopca do rolnika” i pokazuje drogę, jaką przeszła wieś od stanu chłopskiego do zawodu rolniczego, którego się trzeba uczyć, jak każdego innego), ponieważ na tym terenie zachodzą najistotniejsze przemiany społeczne i psychologiczne naszej powojennej rzeczywistości.

Co z tego zostało zapisane? Czernik, Piętał, Worcell, Gałaj, Morton, Ozga-Michalski, Kawalec, Mach; Redliński, Nowak, Myśliwski, Pilot, Trzaska; na naszym łódzkim gruncie Binkowski (a także Zawilski ze swoim „Testamentem”) oto przedstawiciele różnych generacji pisarzy (nie wszystkich wymienię), którzy mają za sobą różne starty, różne doświadczenia, sposoby przedstawiania rzeczywistości, ukazywania wsi jako terenu ścierania się i wzajemnego przenikania starego i nowego obyczaju, starej i nowej moralności. Inaczej te problemy potraktuje Czernik w „Rece”, inaczej Myśliwski w „Pałacu”, którzy (powtórzę za Zygmuntem Ziątkiem) „zawiera niezwykle śmiałą ocenę przebiegu emancypacji kulturalnej chłopów i wskazuje niektóre przyczyny jej polowiczności”. Nie wszystko jednak z problematyki wsi dzisiejszej zostało przedstawione w prozie (jak to uczyniła literatura pamiętnikarska). Może to zabrzmieć jak zarzut, choć zarzutem nie jest. Albowiem temat jest wciąż żywy, jak żywe jest także jego podłoże społeczne, na którym bazują pisarze.

INFORMACJE

ZŁOTY JUBILEUSZ BIBLIOFILÓW

W Toruniu odbyły się uroczystości 50-lecia Towarzystwa Bibliofilów im. Joachima Lelewela. Założycielem Towarzystwa był m. in. dyrektor Książnicy Miejskiej, zasłużony działacz Towarzystwa Naukowego w Toruniu, Zygmunt Mocarski. Towarzystwo prowadzi też działalność wydawniczą. Wydano ogółem 34 pozycje bibliofilskie po roku 1945, z których ostatnie powstały już we własnej oficynie drukarskiej.

NIESPODZIANKA W KOŁOBRZEGU

Centralny Zespół Artystyczny WP przygotowuje na X Festiwal Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu niespodziankę. Będzie nią widowisko muzyczne „Ballada o czterech pancernych” oparte na motywach znanej książki Janusza Przymanowskiego. W widowisku obok solistów wystąpi kilkadziesiąt osóbowy balet.

Pokłosie konkursu — taki tytuł nosi książka, o której warto podyskutować. Moją uwagę zwróciła ona okładką, literacizmem i ujęciem w medallion rysunkiem — przypominającymi wydawnictwa z przełomu dwudziestego i trzydziestego wieku. Projektował te okładki nie lada majster: sam Szymon Kobyliński. Choć tytuł książki wyraźnie sugeruje, że omawia ona sprawę łódzkie — wydano ją we Wrocławiu. „Polskie Towarzystwo Ludoznawcze jako kolejny rocznik serii: „Literatura Ludowa”. Finansował Wydawnictwo Urząd Miasta Łodzi i nie dziwnego, gdyż jego tytuł brzmi: „Folklór robotniczej Łodzi”.

Ten właśnie tytuł sprawił, że bez chwili namysłu wszedłem do księgarni. Zrobiłem to i dlatego, że staram się nie przegapić żadnej książki o naszym mieście, a także dlatego, że sprawa istnienia czegoś takiego jak łódzki folklór budziła zawsze moje wątpliwości. Zapoznając się z zawartością książki wątpliwości tych nie rozwiało.

Interesujący jest — po pierwsze — bodziec, który sprawił, że książka o folklorze robotniczej Łodzi mogła zostać napisana czy opracowana. Zaczęło się wszystko od konkursu na folklór robotniczy ogłoszonego w 1972 roku w Łodzi. Nadesłano na konkurs prace o charakterze opisywym i pieśni oraz materiały ujawnione w ramach przeglądu muzyki, tańca, pieśni i poezji amatorskiej, zorganizowanego w tym samym 1972 roku w Łodzi, zostały opracowane przez specjalistów naukowców i jednym z efektów tej pracy jest właśnie omawiana publikacja. O mieszkańcach łódzkich robotników pisze Elżbieta Władysławowa; Jan Piotr Dekowski — o weselach; o świętach — Iréna Lechowa, a o odpoczynku — Jadwiga Kucharska. Bogaty wybór pieśni opracowały: Ewa Kąbat i Joanna Grzelakówna. Jak widać, mamy do czynienia z pracą zbiorową prezentującą w oparciu o materiał konkursu różne dziedziny obyczaju robotniczego i robotniczej twórczości.

nie mam zamiaru streszczać owych pięciu podstawowych rozdziałów składających się na omawianą książkę; taka próba byłaby i bezsensowna i daremna, gdyż główny urok lektur tego rodzaju polega — przynajmniej dla mnie — na poznawaniu cytowanych przez naukowców tekstów wspomnień, relacji, pieśni czy wierszy. Amator tych smakowitości znajdzie ich pod dostatkiem i w różnych gatunkach, a wyobrażenie o dniu powszednim i świątecznym w robotniczym domu czy robotniczej dzielnicy stanie się dzięki lekturze znacznie konkretniej-

sz. Z niesłabnącym zainteresowaniem przeczytałem te książkę od deski do deski, a z satysfakcją prawdziwą znalazłem w niej zapamiętaną z lat młodości balladę o Łanuzie, który głuchą nocą zakrada się z toporkiem do państwa Tiszewów. W gruncie rzeczy ballada opiewająca krową zbrodnie nie powinna budzić w oświeckim przyjemnych uczuć, ale tak to już jest, że w pewnym wieku z sympatią wita się wszystko, co przypomina człowieka jego młodości.

Przepraszam za ten osobisty wtargnięcie; wracam do „Folkloru robotniczej Łodzi”, a raczej do pewnych refleksji, jakie wzbudziło we mnie zapoznanie się z tą książką. Po pierwsze — uświadomiła mi ona z ogromną buźnością rzecz, o której wiedziałem: wiejski rodowód łódzkiej klasy robotniczej. Co innego jednak wiedzieć, a co innego własnymi — jeśli tak rzecz można — rękoma dotknąć tego właśnie rodowodu świat-

była przypadkowa; trudno założyć, by każdy z 61 autorów opisu robotniczego folkloru, nadesłanych na wspomniany konkurs, przez przeoczenie pominał znane mu, krążące wśród robotników opowieści i gawędy. Najwidoczniej w wielkim mieście, w środowisku, w którym literatura mówiona wyplera jest przez literaturę pisaną czy drukowaną, nie było warunków do powstawania i kultu wiania miejskich legend. Ich miejsce zajęły śpiewane ballady o bandycie Łanuzie czy Zajdłowej — okrutnej matce; utwory, których bohaterami byli konkretni ludzie i rzeczywiście ich czyny. Po przeczytaniu omawianej książki ostatecznie nabrałem przekonania, że zebrane przez jednego z znanych mi autorów łódzkie baśnie rozdziły się nie tyle w świadomości łódzkich robotników, co pod piórami autorów o tych robotnikach piszących, a więc nie przynależą do twórczości ludowej. Niczego to, oczy-

wiście, owym baśniom nie ujmuję; gawęda czy opowieść bawi nas nie dlatego, że jest akurat ludowa, lecz dlatego, że jest zabawna.

Wspomniałem już — przeczytanie książki o folklorze robotniczej Łodzi nie rozproszyło moich wątpliwości co do tego, czy taki folklór w ogóle kiedykolwiek istniał. Skąd takie wątpliwości? Proszę bardzo: Folklór jest — a raczej był — zewnętrzna forma dnia powszedniego i świątecznego, wypracowana przez jednorodne, zamknięte, odporne na zewnętrzny wpływ środowisko. Odrębność między folklorem łódzkim, opocznym czy sieradzkim mogły się wytworzyć i utrwalić dlatego, że wymiana dóbr materialnych i kulturowych między tymi regionami była wąta; każdy z nich żył sam sobie, według tradycyjnego, własnego obyczaju. Łódź, wielkie miasto, do którego co trochę napływali ludzie nie tylko z opoczyńskiego, sie-

EDWARD SZUSTER  
POKŁOSIE KONKURSU

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, WIESŁAW JAJDZYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYŃKOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji). Stałe współpracują: ANDRZEJ BLAJER, ANDRZEJ F. GRĄBSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZLEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMANSKI-GLANC

## OBLICZE KAPITALIZMU

Dalszy ciąg ze str. 1

- Włochy: niektórzy przedsiębiorcy zaczęli się oglądać na partię komunistyczną, traktując ją jako jedyną siłę zdolną do przywrócenia dyscypliny, również gospodarczej, w tym kraju.
- W Japonii rząd osłabiony skandalem łapówkowym z firmą Lockheed i licznymi problemami gospodarczymi musi dokonać trudnej zmiany w polityce, niezbędnej do przystosowania się całego społeczeństwa do życia w warunkach znacząco zmniejszonego tempa rozwoju ekonomicznego zwanego m. in. inflacją.

esy inflacyjne zaczęły występować niemal równocześnie z rozwojem gospodarki pieniężnej. Jest nawet takie powiedzenie, że historia pieniądza to dzieje nieustannego zmniejszania się jego wartości, czy deprecjacji. Faktem jest jednak, że właśnie w wieku XX procesy, o których tutaj mówimy, najostrej dały o sobie znać. Cofnijmy się w czasie do początku lat trzydziestych. W bardzo wielu krajach zaufanie do pieniądza spadło wtedy do zera. Za takie produkty, jak chleb, papierosy, zapałki, płacono najpierw tysiące, później miliony, a wreszcie miliardy. W niektórych państwach, wobec oszalałego szybkiego spadku wartości pieniądza, pojawiły się symptomy gospodarki wymiennej, z pominięciem pieniądza. A więc paczka

odbywa się pod ainią presją potężnych związków zawodowych. Ma to także swój rezonans w sferze popytu, który rośnie szybciej niżeli podaż określonych towarów.

I w tym miejscu zaczyna się właśnie coś, co nazywane bywa przez niektórych „widmem”, a przez innych — kwadraturą koła gospodarki i podstaw ustrojowych świata kapitalistycznego. Byłoby przecież ogromną naiwnością, lansować tutaj tezę, że wielki kapitał nie zdaje sobie sprawy z roli wymienionych przed chwilą czynników pobudzających inflację. Z tym jednak, że eliminacja większości z nich jest praktycznie niemożliwa. Dla przykładu: ograniczenie napływu pieniądza na rynek (kredytowy czy

## NIE TYLKO HISTORIA

### MAGDEBURG — SPOTKANIE HISTORYKÓW

Tym razem spotkaliśmy się z historykami z Niemieckiej Republiki Demokratycznej w pierwszych dniach czerwca w Magdeburgu, tam bowiem wyznaczono kolejne posiedzenie bilateralnej Komisji Historycznej Polsko-NRDowskiej, poświęcone problematyce historii kultury. Działająca od 1956 r. Komisja ma już swój wcale poważny dorobek. Coroczne spotkania, odbywające się na przemian w Polsce i NRD stały się platformą wymiany poglądów, forum na którym zainspirowano wiele nowych badań historycznych, przedyskutowano wiele ważnych zagadnień. Jednym z tego przykładów jest wzmiana nam tu przed wyjazdem do Magdeburga skromna, ale wartościowa publikacja materiałów z XIX posiedzenia Komisji, ogłoszona przez Uniwersytet w Rostoku, a zatytułowana „Stosunki kulturalne i naukowe między Niemiecką Republiką Demokratyczną i Polską Rzeczpospolitą Ludową”. Znalazły się w niej prace autorów polskich i niemieckich, dotyczące rzetelności i teraźniejszości kontaktów intelektualnych polsko-niemieckich, a wśród nich rzeczy prawdziwie cenne, takie jak studium Eduarda Meriana o Fundacji Jablonowskich w Lipsku i jej roli w stosunkach polsko-niemieckich, szkic Jana Kosima o niemieckich pisarzach w Warszawie w końcu XVIII i w początkach XIX w., spostrzeżenia Heinza Lemke, znanego autora doskonałej pracy o niemieckich kontaktach brać Zajądłkich, o kulturalnej problematyce polsko-saskiej unii personalnej w czasach Augustów. Wymieniam tu jedynie prace, które szczególnie mnie zainteresowały; intry czystelnik z pewnością zwrócić uwagę na pozostałe, poświęcone problematyce literackiej i kulturalnej XX stulecia.

Tym razem dyskutowaliśmy zagadnienia historii kultury. Czuliśmy to w dwóch płaszczyznach: ogólnej, metodologicznej, oraz szczegółowej, rozważając problematykę polskiego Romantyzmu i niemieckiego „Vormärz” w perspektywie porównawczej. Referaty i komunikaty Helmuta Bocka, Petera Schuppmana, Sławomira Kalembki, Krzysztofa Dunin-Wąsowicza, Ireneusza Ichnatowicza, Andrzeja Wierzbickiego i inne wypowiedzi z pewnością zawojują w przyszłości w postulowanych przez obie strony wspólnych badaniach porównawczych. Koledzy z NRD okazali żywe zainteresowanie dla prowadzonych u nas szerokim frontem badań nad dziejami kultury, w szczególności nad kulturą klas i grup społecznych, z klasą robotniczą na czele. My ze swojej strony dowiedzieliśmy się wiele o stanie i kierunkach badań historyczno-kulturalnych, rozwijających się w NRD; korzyścią dla własnych badań będzie dla mnie możliwość wykorzystania socjologiczno-literackich, nowoczesnych od wszelkich metod studiów aktywnie uczestniczącego w naszych obradach Gahnera Rosenberga, autora arcydzieła książki o niemieckim życiu literackim w okresie przed Wiosną Ludów, a także udostępnienie nam przez organizatorów niemieckich najnowszej NRDowskiej literatury naukowej. Prowadzone

pod wspólnym kierownictwem przewodniczących obu delegacji, ze strony gospodarzy Heinricha Schenla, z naszej Mariana Biskupa obrady, końcowe postanowienia — postulujące dalszy rozwój wzajemnych publikacji historycznych, ożywienie badań nad problematyką polsko-niemiecką, rozszerzenie możliwości reaktywowania Fundacji Jablonowskich w Lipsku itd. — wszystko to stanowi niewielki wprawdzie, ale ważny wycinek kształtującej się nowej rzeczywistości polsko-niemieckiej, w czym nauka historyczna ma swój widoczny, własny udział.

Przy czynnej współpracy władz partyjnych i miejskich Magdeburga, które okazywały żywe zainteresowanie pracami Komisji, strona niemiecka stworzyła nam okazję roboczną na własne oczy, jak przeszłość stapia się w NRD z teraźniejszością w nowej, socjalistycznej rzeczywistości kraju. Stanęliśmy w małym mieście Sandau nad Łabą przed pięknym, wzniesionym tu przed rokiem pomnikiem żołnierzy I Armii Wojska Polskiego, który doszli tu przy boku Armii Radzieckiej, nieśac narodowi niemieckiemu wyzwolenie od faszyzmu. Ze wzruszeniem słuchaliśmy słów sekretarza o tym, jak miejscowa młodzież, zrzeszona w FDJ, skrupulatnie poszukiwała w swoim regionie śladów działań naszych żołnierzy, aby dokładnie ustalić — niemal tak samo, jak czynimy to my, historycy — przebieg wydarzeń, które przyniosły miastu Sandau, w którym do dziś widnieją ślady wojny, uwolnienie od faszyzmu. Złożyliśmy razem z niemieckimi kolegami wizanki kwiatów nie tylko przed tym pomnikiem oddaliśmy również hołd pamięci wielkiego polskiego rewolucjonisty, tak bardzo związanego z niemieckim ruchem robotniczym, Juliana Marchlewskiego, przed wzniesionym tu jego ciału pomnikiem w Havelbergu. Płaskorzeźbę okalającą cokolwiek pomnika przypominała drogę życiową J. Marchlewskiego: na jednej z nich niemiecki artysta przedstawił łódki opozycji z tegoż działalności. Właśnie o tych sprawach rozmawiam podczas tej wyprawy, z niemieckimi kolegami. Jesteśmy co do tego zgodni, że obrachunek z przeszłością, ich Niemców, i nas Polaków, jest koniecznym warunkiem rozwoju i nie tylko zresztą naszych związkowych, internacjonalistycznych stosunków, że dobrze służy sprawie lepszej niż przeszłość przyszłości. W końcowym protokole obrad naszej Komisji silnie zaakcentowano, że obie strony nadal będą udzielać wszechstronnej pomocy inicjatywom poleimowanym przez ZRQWiD oraz walki z faszyzmem Antifa. Ma to swoją wymowę. I właśnie ostatnia impresja atmosfery, która nas otaczała, podczas tych kilku dni pobytu u sąsiadów, wyczuwalna nie tylko w rozmowach z niemieckimi kolegami, ale również w przyrównaniach spotkań z zupełnie nieznanymi osobami. To także część nowej rzeczywistości za Odrą, która trzeba z pewnością lepiej poznać, i lepiej zrozumieć.

ANDRZEJ F. GRABSKI

# KONIEC MITU

I w charakterze „podsumowania” tych stwierżeń opinia — tym razem wyrażana przez francuski tygodnik „PROBLEMES ECONOMIQUES” — też pachnąca jeszcze drukarską farbą:

„Współczesny świat uprzemysłowiony cierpi na gorączkę inflacyjną”.

Podczas gdy w każdym kraju zachodnim wziętym z osobna zdarzają się jeszcze wypadki spadku cen niektórych towarów i niektórych usług, to ogólny poziom cen zmienia się już tylko w jednym kierunku: w górę. Z tego właśnie powodu, a także z uwagi na to, że w zachodnim sposobie myślenia zakorzeniły się już głęboko oczekiwania inflacyjne, wnioski płynące z porównywania obecnej inflacji z poprzednimi okresami wzrostu cen mogą się okazać nie w pełni słuszne. Natomiast z pewnością można z pełnym uzasadnieniem porównywać sytuację obecną z sytuacją w ciągu całego okresu powojennego. Porównanie takie prowadzi do bardzo niepokojących wniosków.

### INFLACJA — CO TO ZNACZY?

Próbujemy w jakiś sposób wytłumaczyć to słowo o tak niezwykle groźnym brzmieniu dla społeczeństw żyjących w krajach kapitalistycznych, dla całych struktur gospodarczych tych państw, warunków egzystencji mieszkańców. A więc inflacja. Słowo wyjęte z medycznej terminologii, gdzie inflacja znaczy po łacinie — ulec opuchnięciu, nadymaniu — jeśli tak można powiedzieć. Znalazło ono zastosowanie w ekonomii, jako że chyba dobrze oddaje charakter zjawiska. Krótko mówiąc chodzi o masę pieniędzy znajdujących się w danym momencie w obiegu. Jeśli — i to jest najistotniejsze — masa pieniądza znacznie przewyższa ilość towarów występujących równocześnie na rynku, mamy do czynienia z inflacją.

Proszę ten wywód traktować jako bardzo uproszczony, ale oddaje on istotę problemu, słowem mniej więcej wiemy już teraz z kim, a raczej z czym mamy do czynienia, a warto wiedzieć, bowiem ekonomisci świata kapitalistycznego zaliczają — obok bezrobocia, stagnacji gospodarczej — właśnie inflację do trzech hydr nekających państwa Zachodu.

Według danych raportu OECD czyli Organizacji Gospodarczej Współpracy i Rozwoju, na koniec grudnia ubiegłego roku w państwach Zachodu nadal wyrażnie rysowały się tendencje inflacyjne. Najniższą stopę inflacji odnotowała RFN — 7,5 proc., najwyższą Wielka Brytania — 26,2 proc. Przykładowo inne kraje uprzemysłowane: Belgia — 12,5 proc., Włochy — 19 proc., Szwajcaria — 10,6 proc., Szwajcaria — 8 proc.

### RODOWÓD

Niekiedy, na przykład z informacji i komentarzy można by odnieść wrażenie, iż inflacja to swoista cecha współczesności, ściślej — XX wieku, jedna z chorób bez większych szans na uleczenie. Otóż rzecz ma się nieco inaczej, a ekonomisci uważają, że pro-

zapałek za papierosy, świece i nafta w zamian za chleb!

Te parokrotny kapitalistycznej gospodarki z końca lat dwudziestych i początku trzydziestych naszego wieku — bardzo dobrze są znane i naszemu społeczeństwu.

Dosyć już jednak wspominków z przeszłości, jako, że i dziś sytuacja w bardzo wielu krajach bliiska jest symptomom inflacyjnym z lat trzydziestych. Komentator Agencji „Interpress” tak to ocenia:

„Kłopoty gospodarcze rozwiniętych krajów Zachodu i towarzysząca im inflacja „eksportowane” są — w rezultacie wymiany handlowej i gospodarczej współpracy — do państw Trzeciego Świata. Opublikowane ostatnio dane wskazują, że kryzys ekonomiczny dotknął także Amerykę Łacińską. Szacuje się, że stopa inflacji sięgnie w tym roku na całym kontynencie 30 proc. Chile i Urugwaj biją światowe rekordy w tej dziedzinie: siła nabywcza pieniądza zmniejszyła się tam, w porównaniu z końcem roku ubiegłego niemal 4-krotnie.”

Przypomnijmy, że załamanie koniunktury przychodzi po okresie znacznego rozwoju gospodarczego. W latach 1971—1974 roczne przyrosty produkcji przemysłowej i rolniczej wynosiły — w skali całej Ameryki Łacińskiej — ponad 7 proc. Łączne dochody narodowe państw tego kontynentu wyniosły w roku ubiegłym 220 mld dolarów, podczas gdy w roku 1950 wysokość tych dochodów nie przekraczała 60 mld dolarów.

Według opinii latynoskich ekonomistów, perspektywy na ten rok wyglądają nieciekawie, o 20 proc. zmniejszył się już dotychczas napływ zagranicznych kapitałów, wzrasta deficyt handlu zagranicznego. Szacuje się, że tegoroczny eksport z Ameryki Łacińskiej będzie miał wartość 24 mld dolarów, gdy tymczasem import — 38 mld dolarów. Deficyt ten jest przede wszystkim rezultatem spadku cen towarów, oferowanych przez kraje południowoamerykańskie. Dodajmy, że około 40 mln mieszkańców Ameryki Łacińskiej nie może uzyskać pracy, a około 100 mln żyje — według wspomnianych już ocen — w skrajnej biedzie.

### KWADRATURA KOŁA?

Ogólna zasada wskazująca źródło inflacji pozostała niezmienna: dysproporcja między ilością pieniędzy a masą towarów występujących na rynku, świadczą o tym fakty zaczerpnięte ze światowych statystyk, które tutaj w ślad za „Le Monde’em”, New York Timesem” oraz radzieckim wydawnictwem „Mirowaja Ekonomika o Międzynarodnyje Otnoszenija” chciałbym przytoczyć. A więc: jeśli w czołowych, najbardziej uprzemysłowionych krajach kapitalistycznych, w latach 1971—74 masa towarów wzrosła średnio o 5,2 proc. rocznie, to pieniądze o 13,7 proc.

Mamy więc tutaj do czynienia z faktycznym uzasadnieniem, ale wydaje się, że spowodowanie źródeł współczesnej inflacji tylko do kształtowania proporcji między towarami i pieniądzem byłoby mimo wszystko dużym uproszczeniem. Jest jeszcze co najmniej kilka czynników, które wywołują w tak ostrej formie zjawiska inflacyjne w gospodarce kapitalistycznej.

Do nich zaliczyć należy m. in. wzrost kosztów produkcji, podrożenie importowanych surowców, nierównoważoną politykę budżetową, a także zwiększenie się plac zatrudnionych, co

papierowego) jest równoznaczne z wpełnieniem danego kraju w nurt recesji ekonomicznej, której nierozłącznym zjawiskiem jest ograniczenie szybko wzrastającego bezrobocia. A to może już doprowadzić do zachwiania całej społeczno-politycznej struktury kapitalizmu. W rezultacie popyt globalny wzrasta szybko. Odpowiedzią na to muszą być inwestycje, które jednak mają to do siebie, że obok elementów pozytywnych, takich jak tworzenie nowych dóbr, miejsc pracy — zawierają czynniki inflacyjne, gdyż tego rodzaju pochynania w dobie rewolucji naukowotechnicznej, w warunkach bezpardonowej konkurencji między monopolami, są po prostu coraz kosztowniejsze.

W warunkach gospodarki socjalistycznej mogą się pojawić pewne zjawiska inflacyjne. Wynika to m. in. z pewnych opóźnień w określonych dziedzinach gospodarki. Z tego bierze się potrzeba szczególnie dużego wysiłku inwestycyjnego, któremu towarzyszy zakup najnowocześniejszych maszyn, import surowców. Państwo socjalistyczne może jednak — poprzez mechanizm planowej gospodarki — natłoczyć skutecznie hamulce symptomom inflacyjnym.

### CO ZAUWAŻYŁ ADAM SMITH?

Można i trzeba w tym miejscu wyrazić taki pogląd, że świat kapitalistyczny staje w obliczu sytuacji, w której dalsze tolerowanie inflacji będzie po prostu niemożliwe. Odzywają się już nawet głosy, choćby prof. Wilfrida Backermanna z londyńskiej Business School, o niezbędnej potrzebie ograniczeń, posunięć budżetowych i fiskalnych. Ale takie działania ma to do siebie, że ostrzem jest skierowane przede wszystkim w stronę klasy robotniczej, a więc kryje w sobie źródło wzrostu napięć społecznych. Dowodem na to jest Wielka Brytania, także Francja i Włochy.

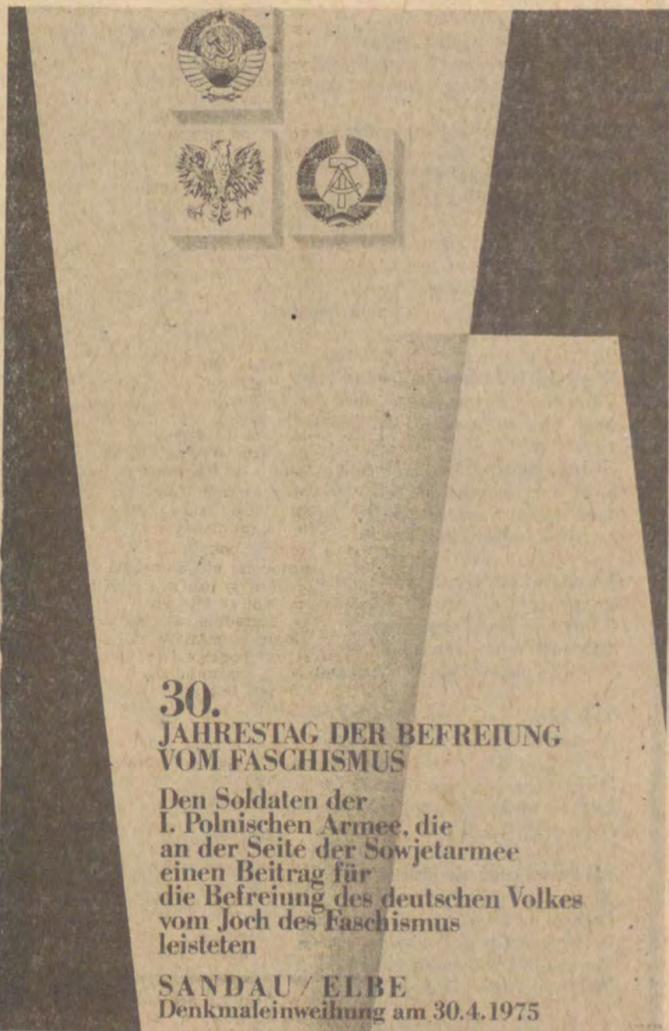
Ci, którzy lansują również tezę obarczającą odpowiedzialnością za procesy inflacyjne w krajach kapitalistycznych klasę robotniczą z jej upartym dążeniem do uzyskiwania wyższych zarobków, zapominają też o słowach wypowiedzianych przez twórcę klasycznej ekonomii politycznej — Adama Smitha. Ten Anglik, urodzony przed 250 laty, miał odwagę stwierdzić:

„W rzeczywistości wysokie zyski prowadzą w znacznie większym stopniu do zwykli cen wytwórców niż wysokie płace. Kupcy i fabrykanci narzekają bardzo na zły skutki wysokich plac, które podnoszą ceny. Nie wspominają jednak o skutkach wysokich zysków. Młęczą o zgubnych skutkach własnych korzyści, a narzekają jedynie na korzyści, jakie przypadają innym.”

Jak dalek potoczą się wypadki, jak będzie się kształtowała sytuacja społeczno-gospodarcza państw Zachodu?

Pewne oznaki ożywienia ekonomicznego okazały się złudne, przejściowe. Czyżby znowu, po krótkotrwałym „oddechu” miał przyjść nowy, jeszcze głębszy kryzys sięgający podstaw ustrojowych świata wielkiego kapitału?

KRZYSZTOF POGORZELEC



### 30. JAHRESTAG DER BEFREIUNG VOM FASCHISMUS

Den Soldaten der I. Polnischen Armee, die an der Seite der Sowjetarmee einen Beitrag für die Befreiung des deutschen Volkes vom Joch des Faschismus leisteten

SANDAU/ELBE  
Denkmaleinweihung am 30.4.1975

TADEUSZ CHRÓSCIELEWSKI

## WYWÓD

## O ZIEMI OBIECANEJ

## 1. Pamięci

Przy legendarnym Księżym Mlynie,  
Skąd zaczynały się Posiadła,  
Zielonooka Jasień płynie,  
Foluszy mgławicą się wdziała.

W białych fabrykach tkaly webry,  
Dym wspiął się w niebo i nie spela.  
Tutaj tuczyły się Scheiblerzy  
Czyją młodocia w łzach.

W nów spod Księżego Mlyna  
Spłynął Jasienią wianek.  
Nie ma go co i wspominać,  
Gdy tak wiele zapomniane.

III, Kopisch, Grohman, Steinert  
Ruhen im Gott. Czort z nimi.  
Ich ucisku młyński kamień  
Sam ich wciągnął w nurty ziemi.

W nurty? Znaczą się w niepamięć?...  
Nie! Bo ta jest próżnią bez dna.  
Trzy są pamięci: młyński kamień,  
Czerwony ptak i mgła bezbrzeżna.

Pamięć ucisku — ówże kamień,  
Im wunderschönen Monat Mai  
Pamięcią wałk, zrywanymi marzeń  
Płomiennych ptaków wzlot nad kraj.

Gdy wiesz, że kamień — pamięć zła,  
A dobra, gdy maj flagi zbudzi,  
Wiedz — siwa mgła, wciąż gęstsza mgła  
To pamięć mijających ludzi.

Choćby dwóch serc — gołębi paręk  
(Muzy straganów tema święte),  
Co dokołały się mgły szarej  
I znikają ze szczeniem...

## 2. Obiecana

O Miasto nie obiecywane,  
Podane mi na kształt bosaka  
W pelen czerwonych ptaków ranek,  
Gdy tu wysiadłem z tartarniaka!

Zabiły serca dwa. Wnet cztery —  
Owoc żywota... Miałem paru  
Przyjaciół. Czasu huldożery  
Już ich zgarnęły z trotarów.

Pietryna — ta Jędrusik-Lucy  
Ulic z salonki mknącej w przeszłość.  
Siedmiomilowe mamy buty  
I brniemy w Nowe. Ptakiem zeszło.

Staszica profil, wierzb warkocze  
W smarach Jasieni na Posiadłach  
I łódzkie, srebrne, konne noce  
(Koł z kwiatów polskich), i rozjadła

Grupka nędzników, co do wiersza  
Rym w rym walili błotem w drzwi —  
Stąd wybuch był w komorze serca  
I wylew zadławionej krwi.

Im więcej lat, tym bielsze sny,  
Im gęściej lat, tym więcej mgły  
(Choć lata gęsto zapisane).  
Tak auto w noc skroś sine mgły  
Z wolna posuwa się w nieznane...

Tym bielsze sny, im więcej lat —  
A wszystkie mocno spracowane  
Od stóp — przebrnęły ziemi szmat,  
Do głów — leh biały jak rumianek,  
I ręk — świat chciały pchać iks lat,

Tej Ziemi nikt nie obiecywał —  
Ni grania książąt w jej teatrze —  
Lecz że mój czas jak ślimak przywarł  
Do Niej i że w Jej serce patrzę —  
To mi tej Ziemi piędź i siwa  
Mgła obiecana już na zawsze.

## Ewa Dąbrowska

Co pozostało z jej gorączkowego istnienia? Gdyby była płomieniem, amplituda jego drżenia zadziwiłaby zmiennością, chwiejnością, zawsze jednak byłby on nateżony, wysłony, gorący.

Nazywałam ją „Ewicą”, gdyż było w niej coś dziecięcego i nieporadnego, mimo całej programowej zadzierzystości jej poglądów, a także prób postępowania. Głosiła straszliwy pragmatyzm — praktycyzm i ostrzegano mnie przed jej przyjaźnią, że będzie interesowna. Była to oczywiście nieprawda. Ewa po prostu swojej uczciwości starała się nadać jak najbardziej potoczne, przyjęte wy tłumaczenie, tak przed samą sobą jak przed innymi. Usiłowała — na próżno — zwalczać żyjącą w niej „romantyczną trajerkę”.

Poznałam ją na jakimś zebraniu łódzkich „młodych poetów”, na które przypadkowo wstąpiłam. Ewa była najciekawszą wśród tego poplującego się erudycją kregu, dopiero później dowiedziałam się, że ona to jednak była spirytus movens całej grupy. Mała kobiątka o trójkątnej białej twarzy tragicznego kłowna, podobna do wielkiej aktorki włoskiej Julietty Massiny.

Umiała żartować z siebie, po prostu patrzeć z jakiejś perspektywy. Kiedyś ostrzygła włosy prawie na rekruta i śmiała się, że zrobiła z siebie „głupiego Jasia”. Równocześnie jednak widać było, że bardzo współczuje temu „Jasiowi”.

Otrzymałam od Ewy pierwszy jej tomik „z nadzieją na przyjaźń”, jak ładnie zadedykowała i od tego czasu nasze kontakty stały się coraz bliższe.

Ta autorka impresyjnych, wrażliwych poezji i uroczych, tajemniczych opowiadań, nie była intelektualistką. Nie obchodzili ją idee, nie rozumiała się na pojęciach, była za to dość skali artystką w stylu francuskiej Colette czy Anny de Noaille. Treścią jej życia było bezustanne poszukiwanie uczucia. Z groteskowym uporem i z rzeczywistym cierpieniem brnęła poprzez „puszyste miłostki”, zawsze jednak potrafiła przyglądać się swemu bólowi i wykorzystywać go, aby tworzyć z niego ciało sztuki.

Wspominałam, że Ewy nie interesowały tzw. sprawy ogólne. Uprawiała kultę szczegółu i fragmentu, ale nie można by jej nigdy nazwać „małą realistką”. Odwrotnie, Ewa w swej pasji do kameralnego opisu starej szopy czy zimowej drogi, przenikała rzeczywistość aż do jej abstrakcyjnego szkieletu. Świat był dotkliwy i nieznosnie cielesny aż do jakiegoś posłizgu dokonywanego poprzez piękno, poprzez przesunięcie rzeczy na płaszczyznę sztuki. Ewa Dąbrowska przeszła przez życie jako pisarka prawie całkowicie nieznana.

Na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wyjechała w Łódź dwa tomiki wierszy i dwa zbiory opowiadań. Potem losy skierowały ją na podkielecką wieś, gdzie jej rodzina, kielec-

kich urzędników, zajmowała starą obrzymią rozlatującą się willę. Łódź w jej niedługim życiu była centrum kultury, do którego tęskniła przez wszystkie pozostałe jej lata. Tu w „kołach młodych” znalazła przyjaciół, w kawiarni dziennikarzy intelektualny wdzięk poważnych i niepoważnych rozmów. Seesyjne łódzkie kamienie odczytywała jako zamierzczła i trapiącą kartę historii architektury, wyprzedzając tą swoją wrażliwością panującą dziś modę na rozchwiana linie modernizmu.

Przywiązana też była bardzo do swej kieleckiej wsi — jej krajobraz, tak samo jak łódzkie ulice, stanowiła dla jej wszystkich utworów — ale czuła się z daleka od miasta osamotniona, zaburiona, wręczona w kierat noszenia wiader ze studni i rąbania szczepów do pieców. Nielatwo też jej było utrzymywać łączność z rynkiem wydawniczym i w owym okresie najczęściej formą wypowiedzi literackiej, były pełne wdzięku i liryzmu audyje radiowe, których cały szereg nadawała Warszawa.

Ta nikomu nie szkodząca istota, buździła często niechęć swoją prostą, szczerą postawą. Nie znała się na manipulacjach i dyplomacjach, jeśli była głodna, mówiła „chcę jeść”, zieleń nazywała zieleń, czerwień czerwienią. Była artystyczna indywidualnością blakająca się ze swym dołbem i zlem po własnych ale przecież jakże ludzkich ścieżkach.

Otrzymałam od niej jako jedną z wielu równie obdarowanych przez nią przyjaciół, zadedykowany dla mnie bardzo piękny wiersz, dowód ile życzliwości, ile instynktu zrozumienia innej osobowości, umiała odezwąć ta mała kobietka, wspaniała człowiek.

Ewa zawsze istniała z trudem. Ludzie na ogół przyzywają ją się do tego, że nie są szczęśliwi, że się starzeją, że ktoś z bliskich umiera, Ewa nie potrafiła.

Najwesejsza wydała mi się w swoim pierwszym mieszkaniu na Marysinie, gdzie zajmowała wraz z mężem na parterze niedużego domku, ładny pokój. Głównym jego akcentem było pianino, stał na nim spamiętał, wielki bukiet osypującego się jasminu, okno otwarte na zieleń ogrodu, jakże ładnie i wesoło tam wyglądała.

W następnym mieszkaniu, dwóch pokretnych, mansardowych pokojkach na Łakowej, także umiała wydobyć dobre jego strony. Stare podłogi pachniały od pasy, w wąskich oknach fruwały firanki, pojawiły się dziwaczne, archaizujące mebelki. Wówczas też postanowiła, że jest wielbiczką secesyjnych kamienieczek, sama przecież w jednej z nich mieszkała i konsekwentnie cieszyła się ich urokiem. Odywiała po wąskich ulicach długie spacerować ze swym ukochnym psem Tomkiem, nieraz co prawda napotykała na swych drogach jakieś niespodziewane przykrości. Szczególnie mawiła się nieoczekiwanymi smutnymi humorami „Tomka”, twierdziła, że pies coś niedobrego wyczuwa, że potrafi bez przyzwyku drzeć i skomlać. Myślałam, że udzielała mu się niepokoję jego pani, i rzeczywiste, długo już na

tym mieszkaniu nie pożył. Nad tapczanem Ewy wisiała dziwnie umieszczona listewka. Raz w drodze zaufania, przekreśliła ją na drugą stronę, okazało się, że wypisana jest na niej solidnymi literami złota myśl: „Pocaulajcie mnie wszyscy w...”. — W okresach bezradnego nastroju odczytywanie tego hasła dodawało jej energii i optymizmu. Śmiałałam się szalenie, ale Ewa ten sposób na melancholię traktowała najpoważniej.

Dom w Zagnańsku z daleka wyglądał imponująco, wzmiesiony na wzgórze, ze swymi werandami i gankami. Wewnątrz stały meble z lat dwudziestych, wisiały obrazy malowane przez panie domu, jedna z nich była nauczycielką rysunków, makatki i fotografie. W rzeczywistości był to stary rozpadający się budynek ze zniszczonymi sprzętami, wymagającą masę pracy i Ewa zamęczona była tam ciężką fizyc...a robotą. Oderwana od swej pracy literackiej, swoich łódzkich przyjaciół zapominających tak szybko, uwiązana nowymi obowiązkami rodzinnymi, cierpiała nie widząc wyjścia ze swej sytuacji. Po blisko dziesięcioletnim pobycie na wsi, uzyskała nareszcie mieszkanie w nowo zbudowanych blokach w Kielcach. Nie zdążyłam tam jej już odwiedzić.

Będąc przejazdem w Łodzi przeczytałam w gazecie o śmierci naszego wspólnego kolegi, pisarza Romana Lobody, z którym Ewa kiedyś razem debiutowała. Kilka miesięcy wcześniej wdziałam go na Łódzkiej Wiosnie Poetyckiej, był wówczas jej organizatorem, dopisywałam się do jego wierszy, nie ścigała na tę przyjemną i interesującą imprezę, długo o niej rozmawialiśmy.

Przejechałam się bardzo tą tragiczną wiadomością i gdy w Klubie Dziennikarza dzieliłam się ze spotkanym znajomym, swym smutkiem, nagle powiedział „A! Ewy też już nie ma!”. Przeszaryłam się, lecz nie o Ewę, ale o mojego rozmówcę. Znałam go jako mistyfikatora, człowieka o nadmiernej wyobraźni, lubiącego także alkohol — czyżby z nim aż tak źle było? Nie uwierzyłam. Zmieniłam temat rozmowy. Przyjechawszy jednak do niego warszawskiego domu, napisałam do Ewy list. Za kilka dni dostałam zwrot koperty z napisem: „Adresatka nie żyje”.

Dość dużo słów napisałam o Ewie, a przecież nie pokazałam jej wcale, tak niewiele wspominałam o jej twórczości. Nie miałam takiego celu, gorące tęgno jej osobowości mogą przekazać tylko jej utwory.

Cóż Ewa najlepiej potrafiła? Myślę, że odczuwać — tak cierpienie jak radość życia. Ta umiejętność, wbrew pozorom, dana jest tylko wybranym. Wierzę bowiem, że do nich należała, i że jej spuścizna literacka, mimo całej swej utamkowości i fragmentaryczności, będzie długo przekazywać czytelnikom jakiś wzór prawdy o świecie.

ANNA POGONOWSKA

ANDRZEJ WIKTOR MIKOŁAJEWSKI

## Dzisiejszy Diogenes

Jestem Diogenesem. Mieszkam w beczce. Moja beczka jest bardzo wygodna. Jest w niej sporo miejsca. Nie musiałbym sam w niej mieszkać, lecz jestem Diogenesem. Gdyby ktoś zechciał mnie odwiedzić, przyjałbym go życzliwie, lecz wszyscy mnie znają i wiedzą, kim jestem, więc może dlatego nikt mnie nie odwiedza. Odnoszę poza tym wrażenie, że wszyscy, których bym zechciał do siebie zaprosić, wnet by odparli, że oni też są Diogenesami. Samotnie wlec żyje w swojej beczce. Kiedyś, pewnego dnia, który szczególnie utkwił w mej pamięci, bowiem ukończyłem właśnie ostatni rozdział mojej rozprawy na temat cynizmu i miałem — mówiąc cynicznie — powód do zadowolenia z siebie, otóż dnia tego wyszedłem przed moją beczkę, by sobie trochę pospacerować. Spojrzałem w ostro świecące słońce. Musiałem za-

mknąć oczy. Masa światła pod powiekami rozlała się w szeroki płomień czerni. Kiedy ponownie rozwarłem powieki, ujrzałem kobiecą postać. Stała przede mną młoda, powabna kobieta i uśmiechając się, uważnie się we mnie wpatrywała. „Wiele o panu słyszałam i zapragnęłam poznać pana” — powiedziała. „Jak to dobrze, że nie brakuje pani odwagi!” — krzyknęłam i zaprosiłem ją do wnętrza mojej beczki.

Weszła pierwsza, stwierdziła, że dobrze mi się powodzi, no czym spojrzała na mnie tak, że od razu wiedziałem, o co jej chodzi. Byłem wystarczająco cyniczny, żeby to wykorzystać. Potem długo przy sobie leżałmy, nieszeząc się. Powiedziała, że bardzo mnie kocha. „Świetnie — odparłem — ale pamiętaj, że jestem Diogenesem”. „To twoja wina, bo nie umiesz być inny”, „Jestem, kim jestem”. „Ciesz się powie-

dzieć, że możesz być tylko Diogenesem?”. „Mogę czy nie, wszelako jestem nim. I już do siebie przyzwyczeliłem”. „Jaka szkoda” — westchnęła. Cofnęła ręce, która mnie dotąd biegała, po czym ubrała się i nie wypowiedziawszy już słowa, wyszła. Zerknąłem na rekonis swojej rozprawy. Uśmiechnąłem się, lub tak mi się tylko wydawało. „Jesteś sobą — rzekłem do siebie — i to ci się cen. Dopóki tak będzie, nie masz prawa niczego żałować”. Ano, jak nie mam, to nie mam. Zapominam o tym tylko wtedy, kiedy listonosz przynosi mi upomnienie przed karami, które grożą za niezapłacenie komornego. Wtedy tracę sentyment do swojej beczki i myślę o napisaniu powieści realistycznej, bo i na to mnie stać.

# BEZ SZTUKI DZIEŃ jest KRÓTSZY

Dalszy ciąg ze str. 1

1.

Zakłady Transformatorów i Aparatury Elektrycznej „Elta” zlokalizowane są na obrzeżach Łodzi, daleko od centrum. Kto się tutaj wybierze, żeby kupić obraz, chociaż aukcję prowadzić będzie Wojciech Siemion, a i cel wszystkim przyswieca zbożny, bo społeczny? Dochód z aukcji przeznaczają przecież plastycy na Fundusz Ochrony Zdrowia.

Chciałoby się zakrzyknąć znanym porzekadłem: „W piątek zły początek”, bo w kalendarzu jak byk stoi piątek i piąta po południu dawno minęła, a w sali zakładowego klubu wciąż klują wzrok łyse, nie zajęte miejsca. Niecierpliw się Wojciech Siemion i kierowniczka pani Teresa Skoczylas, tylko ekipa telewizyjna zabijając czas młoci na zapleczu w grybkowy bilard. Wreszcie w ręku Siemiona pojawia się drewniany młotek i oto, popularny aktor, przemienia się w licytatora.

— Do sprzedania — oznajmia — jest 58 olejów, 34 grafiki i dwie artystyczne tkaniny.

To sporo, zważywszy, że nie dopisała frekwencja, ale uspokajamy się wzajemnie, bo ludzie mogą jeszcze dojechać, ktoś to w dzisiejszych czasach grzeszy punktualnością, a „Elta” znajduje się przecież piekielnie daleko od centrum.

Początek już zrobiony, olej „Tereny zielone”, cena wywoławcza 800 zł. Potem dwa kolejne obrazy i ciągle nie ma chętnych. Wreszcie „Pejzaż” Mariana Jaeschke, ta sama cena wywoławcza i oto na sali coś drgnęło. Ludzie przebijają się wzajemnie o 50, 100 zł.

— Tysiąc dziewięćset po raz trzeci — młotek nieruchomieje na ramie obrazu.

Początek został zrobiony. „Pejzaż” nabyła pani mgr Błaszczyk, pracownica Zarządu Okręgu ZPAP.

Potem znowu nic, może dlatego, że po raz pierwszy oferowane są akwarele.

— Jak to, grafiki także po 800 zł? — Słychać jakiś protest z sali.

— Od kiedy akwarela jest grafiką? — prostuje ktoś podniesionym głosem.

Coś się zaczyna dziać. Przybywa ludzi i obrazy rosną w cenę. „Wista” Tadeusza Spruska poszła za 1950 zł, potem „Tatry” Bolesława Hochlingera za 2150. Na sali ledwie wyczuwalne napięcie. Już z rzadka udaje się coś kupić za cenę wywoławczą, albo niewiele powyżej. „Kwiaty” Józefa Wasiołka. Znowu zacięta licytacja. Młotek w ręku Siemiona zatrzymuje się przy 2600.

Ale oto pierwsze grafiki, obie autorstwa Antoniego Starczewskiego, cena wywoławcza 400 zł. Sprzedane za 700 i 750 zł. I na grafikę jest popyt. „Owoce morza” Jerzego Staneckiego osiągnęły 1050 zł. Znowu chwila zastój, Siemion agituje i zaraz znajdują się nabywcę, chociaż ceny znowu spadły. Olejne „Kwiaty” Anny Brzezińskiej idą za 2000 zł, „Martwa natura” Krystyny Liberskiej i „Atak” Benona Liberskiego osiągnęły 1600, „Czorsztyn” Kazimierza Kędzi 3100,

obraz Liberskiej nabył pan Zbigniew Kupiak z „Elty”. Bessa i hossa, hossa i bessa. Wreszcie olej Wiesława Garbolińskiego „Kąpiąca się”. Ten stonowany akt od razu wzbudza namietność, ceny skaczą jak oszalałe, o 300, o 500.

— 7500 po raz trzeci — stukając młotkiem przyklepuje transakcję Siemion.

Ale to jeszcze nie koniec emocji. Pierwsza tkanina, cena wywoławcza 800. Poszła za 1050. Olej Józefa Wasiołka „Uliczka w Kopenhadze” osiąga 3800. Wreszcie w ręku Siemiona pojawia się niewielkich rozmiarów olej Tadeusza Kokietka zatytułowany „Jeniec”. I znów wyścig cen: 8000, 8500, 9000. Skończyło się na 10 000 zł. Była to najwyższa cena jaką zapłacono na aukcji za obraz. Spoglądam na artystę, który siedzi z żoną na uboczu. Wygląda na zadowolonego.

Na sali zmieniają się twarze. Na bywalców odchodzi z obrazami, przychodzą nowi chętni. Już coraz mniej olejów, zostają grafiki. „Czarny latarnik” Henryka Pióciennika poszedł za 1000 zł, „Kartka z albumu” Leszka Róży za 2100, grafiki Róży idą jak woda.

Ale oto ręce Siemiona są puste. Zaprezentował już wszystko, chociaż nie wszystko zostało sprzedane. A ludzie ciągle tkwią na swoich miejscach, popijają pepsi-colę i zastanawiają się, co robić. Może będzie licytacja powtórna, może uda się coś nabyć taniej, może już nikt nie będzie przebił?

I wszystko powtarza się od początku. Teraz cena wywoławcza na malarstwo wynosi 600 zł, na grafikę 300. Redaktor Zofia Turowska kupuje obraz Ryszarda Hungera za 850 zł. Kolejne prace trafiają w ręce nabywców. Tylko czternaście dzieł nie znalazło amatorów.

Prezes Zarządu Okręgu ZPAP mówi:

— Aukcja się nam udała. Może miała mniej spontaniczny przebieg niż poprzednia, w Klubie Dziennikarzy, ale też zorganizowaliśmy ją w środowisku produkcyjnym, daleko od centrum. Dlatego też spełniła swój cel społeczny i propagandowy.

Jak by na potwierdzenie tych słów rozlegają się za nami podniesione głosy kobiet. To dwie pracownice „Elty”. Sprzeczą się o obraz.

— Ja zwyciężyłam w licytacji, a pani sprzątnęła mi obraz sprzed nosa, bo miałam dalej do kasy. No, ładnie to tak?

Ładnie to nie jest, ale chyba dobrze, że dzieło sztuki potrafi rozbuździć tyle namietności. I trzeba się zgodzić z prezesem Garbolińskim, że aukcja osiągnęła swój cel.

2.

Dlaczego aukcja właśnie w „Elcie”? Wybór nie był chyba przypadkowy, bo Łódzkie Zakłady Transformatorów i Aparatury Elektrycznej słyną z życzliwego stosunku do sztuki. Wicedyrektor Lech Jędrzejczak powiada wprost:

— Chcemy być napastliwi w dziedzinie kultury.

I wskazuje na panią Teresę Skoczylas, dzięki której te kulturotwórcze zapędy zaczęły przynosić owoce. Wiadomo, gdzie diabeł nie może...

Pierwsze kontakty z plastykami miały miejsce w roku ubiegłym podczas ogólnopolskiego seminarium po-

święconego ceramice „Elta” wzbogaciła się o fryz na sali widowiskowej. Ta udana próba współpracy zachęcała obie strony do zacieśnienia kontaktów. W ramach akcji „Sojusz światła pracy z kulturą i sztuką” „Elta” i Zarząd Okręgu Łódzkiego ZPAP podpisały porozumienie. A na czym będzie ono polegać? Zacytujemy aneks do tej umowy, który rzecz precyzyjnie najlepiej:

„Fabryka Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej zobowiązuje się do stworzenia na terenie Zakładu warunków do wykonywania rzeźb przestrzennych, udostępniania materiałów (głównie odpadów), pomocy technicznej i urządzeń do wykonywania elementów rzeźbiarskich dla wytypowanych przez ZPAP plastyków.”

A jak to będzie wyglądało w praktyce?

Na terenie zakładów powstanie pracownia rzeźby przestrzennej.

— Nie pracownia, tylko plener — protestuje dyrektor Jędrzejczak. — Przecież nie możemy dać plastynom hali pod dachem, bo zakłady dwukrotnie przekroczyły założenia projektowe. A więc plener, jednak plener.

Mniejsza o nazewnictwo. Najważniejszy jest pomysł i to pomysł rewelacyjny, choć wcale nie nowy, bo swego czasu podjęty był przez elbląski „Zamech”, który patronował w roku 1965 i Biennale Form Przestrzennych. Tyle, że inicjatywa elbląska była eksperymentem, a „Elta” chciała by swój plener utrzymać na stałe, powtarzać go co roku od maja do września.

W maju zwiedziło zakłady 15 zainteresowanych rzeźbiarzy. Plastycy chodzili po halach, rozglądali się po terenie, pytali o możliwości. Przewodniczył im rzecznik ZOŁ ZPAP do spraw „Sojuszu światła pracy z kulturą i sztuką” Andrzej Jocz.

Artyści byli nieufni.

Jak to? Więc „Elta” rzeczywiście udostępni bezpłatnie potrzebne materiały? Zapewni pomoc techniczną i wykonawczą? I dzieło pozostanie własnością autora? I „Elcie” przysługuje rzeźbiarstwu tylko prawo pierwokupu? Aha, i ma jeszcze prawo bezpłatnie eksponować rzeźby przez pół roku.

Wątpliwości rozpraszają się.

A jak ocenia sytuację artysta rzeźbiarz Andrzej Jocz?

— Zrazu porozumienie utknęło w martwym punkcie, może dlatego, że u nas w Związku nikogo nie uczyniono odpowiedzialnym organizacyjnie za całą akcję. Ale to opóźnienie ma także swoje dobre strony, bo pozwoliło nam wszystko przemyśleć do końca, a chcemy z całą świadomością unikać błędów, które swego czasu popełniono w Elblągu.

Pytam o nastroje plastyków, o ich podejście do całej akcji, a Jocz z miejsca:

— Taka akcja wymaga młodzieńczej postawy, a także racjonalnego podejścia, mimo że rzeźba z natury rzeczy jest konkretna i racjonalna. A wykładnikiem tej młodzieńczości, niezależnie od wieku, jest twórcza aktywność.

3.

I oto znowu jestem w „Elcie”, w tej samej, niezbyt okazałej salce zakładowego klubu. Trwa już robocza narada inżynierów z plastykami i kiedy

się wsluchuję w rzeczową wymianę zdań, przypominają mi się natychmiast słowa dyrektora Jędrzejczaka, który podczas naszego pierwszego spotkania stwierdził:

— Twórcy, ku naszemu zdumieniu, spojrzeli na sprawę bardzo trzeźwo.

Plastycy nie przyszli z pustymi rękami, przynieśli modele proponowanych przez siebie kompozycji przestrzennych wykonane w metalu, gipsie, drewnie. Teraz trzeba zdecydować o materiałach, w jakich zostaną zrealizowane rzeźby w ich ostatecznym kształcie, bo tworzywo rozstrzyga często o ich treści. Autorzy projektów: Stefan Liszewski, prof. Mieczysław Szadkowski, Jan Grodek i Kazimierz Karpiński, uzgadniają szczegóły, wysłuchują opinii inżynierów. Największe kłopoty techniczne przedstawia kompozycja Karpińskiego: trzeba spawać arkusze blachy, wycinać z nich ogromne koła o średnicy 3,5 m i potem całość wyginać, ale tak, aby nie uронić z naturalnej opływalności kształtów.

— Przy tych powierzchniach nie będzie to łatwe — mówi któryś z inżynierów.

— Może zmniejszyć średnicę? — zastanawia się Karpiński.

— Wtedy dałoby się osiągnąć efekt — stwierdza ten sam inżynier.

Ale natychmiast przebija go kolega:

— Niech pan nie rezygnuje ze swych ambicji — zwraca się do artysty.

W naradzie obok inżynierów bierze udział kierownik Ośrodka Pracy Ideowo-Wychowawczej PZPR i przewodniczący ZMS. Obaj są młodzi i obaj uważają, że należy spróbować, z czego nie powinno się rezygnować przed czasem. I ta opinia przeważa jakby na potwierdzenie słów Andrzeja Jocz, że celem „Sojuszu” jest pobudzenie aktywności społecznej w kierunku większego zainteresowania i konsumowania dóbr kultury i sztuki, lepszego ich zrozumienia. A cel ten można osiągnąć najlepiej przez bezpośredni kontakt i wzajemne wpływanie na siebie środowisk twórczych i przemysłowych.

Nie są to tylko slogany.

Jedną z wielkich spraw — stwierdza Andrzej Jocz — nie zawsze w naszym środowisku docenianych jest możliwość znacznego zwiększenia oddziaływania naszej twórczości, dzięki środkom jakie przemysł może przeznaczyć na jej popieranie. Przykładem niech tu będzie „wyprodukowanie” przez rzeźbiarza, razem z inżynierami i robotnikami na terenie fabryki „Elta” i z jej materiałów, dużej kompozycji przestrzennej.

To oczywiście tylko jedna strona zagadnienia. Bo warto spojrzeć także na problem od strony czysto praktycznej. Przecież twórca, który kolektywnie realizuje swoje dzieło, ma niewspółmiernie większe możliwości wykonawcze w zakładzie przemysłowym niż w swojej niedoskonałej technicznie pracowni, pozbawionej maszyn i urządzeń. Zwiększone możliwości wykonawcze w zakładzie przemysłowym mierzeń o wiele ambitniejszych. A przy tym jaka wspaniała symbioza. Robotnik staje się współtwórcą dzieła sztuki, które powstaje na oczach całej załogi. Czy nie lepsze to od pogadank o komunikatywności dzieła, którymi zamekają nas od lat różni nudziarze. W zmaganiu z twórczym można najlepiej zrozumieć przysłowiowe już nie ma! a co twórca chciał przez to wyrazić?

Dyrektorowi Jędrzejczakowi marzy się galeria rzeźb przestrzennych, które zdobić będą dojazd do „Elty”. Pracownikom zakładów mieszkających na Teofilowie robi się lepiej na myśl, że ich osiedle wzbogaci się o kompozycje, które przełamają urbanistyczną monotonię osiedla.

Wszyscy są zadowoleni.

No, cóż, slogan patronujący tegorocznym dniom łódzkiej plastyki głosił: „Dzień bez sztuki jest krótszy i ciemniejszy”. Nie przypadam za sloganami, ale ten przypadł mi do gustu. I zaraz dopisuję następny: Niech Tydzień Plastyki Łódzkiej trwa przez cały rok!

KONRAD FREIDLICH

# ALE TO SIĘ OPLACA

Dalszy ciąg ze str. 1

— A pan był wtedy szefem?

— Miałem „pod sobą” 24 osoby, na każdej zmianie po 12. Bo prawda jest taka: jak się stawia ucznia przy kimś wyszkolonym, to wszystko w porządku, ale jak się stawia ucznia przy uczniu... Byłem wówczas sam, musiałem ich wyuczyć dziewiarskiego abecadła... Opiekowałem się reszlami, to były trudne maszyny, nie każdy umiał się z nimi obchodzić. Tych, których kiedyś uczyłem, są dziś mistrzami. Wojtek Kierociński to nawet został dyrektorem „Terpolu”. A Andrzej Nowacki jest moim szefem...

Był zdolny, uczył się szybko. Wkrótce dyrekcja skierowała go na politechnikę. Skończył, wrócił. Teraz jest kierownikiem dziewiarni.

— Jak pan trafił do „Siry”?

— To ja może zaczęłam od początku? Pamiętam czasy, kiedy matka pracowała i przynosiła trzy razy w tygodniu podwyższoną pensję. Pieniądze przynosiła zawinięte w gazetę. Było tego miliony. Siadała przed stertą banknotów i płakała. Miałem starszą siostrę, ale mnie wysyłała do sklepu. I za te wszystkie miliony otrzymywałem funtowy chleb i zapalki. Sklepikarz nawet nie liczył, rzucił te wszystkie miliony na stracie.

Mając niewiele ponad dziesięć lat, rozpocząłem pracę. Pracowałem w różnych firmach warszawskich. Pamiętam, był na przykład taki „Textil” w Alejach Jerozolimskich, w dawnych koszarach Bema. Potem była wojna.

A po wojnie? Jako fachowiec byłem przetrucany z miasta do miasta. Najpierw Łódź, potem Kalisz, Legnica. Tam wyciągałem z zatonionych i zamkniętych piwnic szpitalnych maszyny dziewiarskie. Ale byłem młody, ryzykowałem. Dali mi trzy traktory i w ciągu dwóch dni wyciągnąłem dwanaście maszyn, z którymi przyjechałem do Łodzi. Mniej więcej w tym czasie, tu, w Sieradzu, zaczęto kopać ziemię pod fundamenty, więc przysłało mnie tutaj. I tak już zostało. Tylko tak jakoś się składało, że zawsze musiałem kogoś uczyć. Ale jest satysfakcja, bo jak ktoś przyjeżdża do zakładu, to pyta: „No, a jak tam stary? Jeszcze jest?” Ludzie pamiętają. A ja jeszcze jestem, jeszcze trwam...

4.

„Sira” całkowicie została opanowana przez kobiety. Dyrektor Zbigniew Smok, prawdopodobnie dla ratowania prestżu męczyzn, zachował jedynego swojego zastępcę, inż. Henryka Glińskiego. Drugim jest już kobieta, mg inż. Bronisława Porombka.

Feminizacja idzie przez wszystkie szczeble: a więc sekretarzem zakładowej organizacji partyjnej jest Teresa Barańska, przewodniczącą Rady Zakładowej — Sabina Bujak, przewodniczącą Związku Socjalistycznego Młodzieży Polskiej — Zofia Zielińska... Wszędzie kobiety, we wszystkich halach produkcyjnych, w magazynach, w szwalni. Ma się wrażenie, jakby z całego Sieradza i okolic zjechały tu na jakiś swój pracowity zjazd wszystkie młode dziewczyny, wszystkie stateczne panie i zapełniły pomieszczenia zakładów tysiącami głosów, zręcznych rąk, różnobarwnością strojów.

Jest godzina 14. Dwa — przeciwnie skierowane strumienie — suną poprzez wymyślony dziedziniec, czystymi chodnikami o wybielonych krawężnikach, idą wśród szpalier zieleni, w dusznym od zapachu kwiatów słońcu. Ten sam dwustrumieniowy ruch odbywa się w długich korytarzach i na halach. Jedne już zdążyły się przebrać, już są w zielonych lub niebieskich fartuchach, sprawdzają maszyny, układają materiał, inne — w kolorowych sukienkach, w bluzkach niczym tęcza, z modnymi torebkami — podążają ku wyjściu. Kiedy na moment zamiera ruch maszyn — rozpoczyna się żywioły ruch ludzi. Obok stert gotowych wyrobów, obok powieszonych sznurami paczek, wąskimi przesmykami wyciekają zmęczone kobiety na zalane słońcem chodniki. Widzę je jak spieszą ku bramie do swoich domów, do dzieci, do mężów czy do rodziców. Po ośmiogodzinnej akordowej pracy można pomyśleć o solidnym odpoczynku.

Dalszy ciąg na str. 10

Omiłując skaczącego psa, Marcin ruszył przez pola w stronę Bukowca. Daleko za wsią sterczał drewniany domek, otoczony gęstym żywopłotem. Marcin pchnął drzwi i wszedł do niskiej izby. Zapachniało machorką, stęchlizną, smolną wonią świeżych trocin. W żelaznym piecyku dogasała czerwien rozżarzonych węgla. Pod ścianą stały kobyłki stolarskie, butelki z rozpuszczalnikiem i lakierami, leżało kilka niechlebionych desek. Na stole, przy lampie o skręconym do połowy knocie, chrapał Garbus z ukrytą pod futajką głową.

— Marcin szarpnął go za ramię. Garbus, mrużąc gniewnie, przecierał zażwawione oczy. Zalaatywało od niego bimbrem.

— Aha, to ty, Marcinek — wybelkotał. — A ja myślałem, że do parszycywa to już nikt...

— Parszywiec też człowiek — powiedział Marcin.

— Che, che, che! — zaśmiał się Garbus. — Człowieki! To mów jak do człowieka! Mów mi „ty”.

Nie odpowiedział. Patrzył na wależące się w kącie izby zakurzone książki. Obok leżał stois czasopism. Nie zdziwiło go to, ponieważ Garbus nieraz kupował w kiosku gazety. Ale książki?

— Ty do mnie czy do książek? — spytał Garbus.

— Nie wiedziałem, że czytasz.

— Z lepszych czasów zostały. Gazety czytam. Ale w gazetach cygani. Mam lepszego kumpla. Takiego, co też kłamie, ale nie zdradza...

Przykleknął i z odrapaniej brązowej wodniarki wyjął półlitrowkę.

— Nie bój się, tobie nie dam — powiedział, nalewając bimber do blaszanego kubka.

— Dasz — powiedział cicho Marcin. — Co? Zie ci jest? Tak jakoby był jak?

Lewa dłoń, zniekształconą i pokrytą bliznami, niezdarnie odsunął od siebie kubek.

— Spróbuj — mruknął nie patrząc mu w oczy. — Może ci pomoże...

— Marcin wypił. Pałący smak karbidu wypełnił usta i gardło. W oczach zakręciły się łzy. Spiesznie połykał miękko, rozkładające się w palcach ogórki. Pestki lepiły się do warg, spadały na podóródek. Garbus patrzył ze smutkiem.

— Dlaczego ty? — powiedział nagle. — Bo ja, wiadomo, ale ty? Ty możesz iść do przodu! A zresztą niech się lituje nad nami Matka Boska! Samemu trudno pić...

Należ ponownie i wypić, zaczął się kłubić.

— Ja wiem — powiedział, wpatrując usta Garbus — że ciebie szarpnęło coś od środka. Wszędzie ci źle. Ja byłem bardziej wychuchany. Jednak. A ojciec szewc. Wiesz, kto to był dobry, przedwojenny, bałucki szewc? Matka mogła służyć nająć! Jednego tylko stary miał zajoba, pieniądze składał. Lekarzem miałem zostać. Ja, ostatni ze szwabskiego rodu. Ech, lepiej napijmy się w tę noc, a potem zapomnij, żeś tu był...

— Marcin stwierdził ze zdziwieniem, że nie czuje już w gardle piekącego smaku. Bimber pulsował ciepłem w nogach, uderzał do głowy i, to było naprawdę piękne, wielką miłością wypełniał serce. Marcin objął Garbusa za szyję, a ten pryskając śliną, wyrzucił z siebie najskrytsze, długo tajone zwierzenia.

— Wiesz, co się stało?

— Wojna — bąknął Marcin.

— Wojna! Zamiast drugi rok słuchać w gimnazjum profesorów, wiesz, czego słuchałem... I widziałem, jak Niemcy strzelają do ojca. Wrócił mi do miasta z uciekinierami. Matka po trzech miesiącach zmarła...

— A ja — przerwał Marcin — ja, Garbus, pójdę dalej, mnie nikt nie przeszkodzi.

— Tak jest! Ale jak się wpakujesz między miastowych, to zgnijesz. Pamiętaj, że możesz liczyć tylko na siebie. Musisz być niezależny, rozumiesz?

— A dzisiaj — powiedział przez łzy Marcin — tramwaj na śmierć chłopaka... Na śmierć małego ciachnął! W dwóch domach uciecha jak cholera, nie?

— Jednemu wesele — mruknął Garbus — a drugiemu stypa. — Jednemu bida zagłada w oczy, drugiemu byłki się cięła! Przekładaniec taki. Sama słodkość i szczyplawy w język cynamon. Matka zawsze piekła takie ciasto na święta, jeszcze do Nowego Roku starczało...

— Marcin sięgnął po kubek, ale Garbus odciął jego rękę.

— Dostyć — krzyknął. — Mnie nie zaskoczą...

Wypił do dna. Otrząsnął się, wstał. — Nie umiesz powiedzieć starym, co cię boli. Zły jesteś, że hołubią Julkę. Powinieneś znaleźć sobie dziewczynę. Ale żeby mieć dziewczynę, trzeba zdobyć pieniądze.

— Pieniądze?

— Taki Zebry ja zaprosił do kina, na potańcówkę. A pić już nie będziesz! — wrzasnął nagle.

Zamachnął się, aby strącić ze stołu butelkę, ale nie trafił i osunął się na podłogę. Głowa opadła mu na pierś. Zachrapał, wsparty ramieniem o nogę stołu.

Lampa przysłała. Z odorem bimbru i stęchlizny zmieszal się zapach kopców i naty. Marcinowi przypomniał się dzień, kiedy pił wódkę siedząc na kolanach czarnej Franki. Teraz wraże-

nie było o wiele silniejsze. Czuł, że odrywa się od ziemi. Podsycał w sobie to wrażenie, dopijając resztek bimbru. W skroniach narastał szum, wzruszenie wyciskało łzy. Zapragnął spytać Garbusa, jak się tutaj znalazł. I o tę kobietę, której już nie ma. Wtem zniechęcił. Zatrząsał się. Ze ścian izby były weń smugi białego światła, po których zsuwały się ciemne, narastające punkty. Zmrużywszy oczy spostrzegł, że ciemne punkty wiosną w świetle cienkimi ramionami. Pajaki. Duże, czarne pajaki...

Okrażając wpełzające Garbusa, wpełzały Marcinowi na twarz. Znikły w odemkniętych ustach, pchały się do nosa i uszu. Było ich coraz więcej. Kółkując odwołkami, parły ku niemu nieprzerwanym szeregiem. Ogarnięty przerażeniem, z krzykiem wycofywał się z izby. Pchnął drzwi, potknął się o próg i upadł twarzą w śnieg. Leżał w bezruchu, wchłaniając zbawienią chłód. Wokół jego dłoni i twarzy tała śnieg. Poczł na plecach miękko dotknięcie długich, zgiętych odnóży... Nie mógł wstać, sparaliżowany strachem. Posuwając się na czworakach, dotarł do pnia starego kasztana. Podniósł się i zaczął uciekać przez zaśnieżone pole. Zaczepiał butami o grudy, padał i podnosił się, zebrał szepcąc o pomoc. Brnął na oślep, lecz w pewnej chwili oparł rozpalone czoło o zimną ścianę domu.

Tęj nocy przestał szukać urojonych postaci z powieściowego świata.

Siedzieli pod sadem. Szepcący sen-

Majster, który co dnia był na rynku, dzięki czemu zresztą mniej się jękał, a kiedy śpiewał, nie jękał się w ogóle, przestał mu wyrażać. Nie wiedział jednak, że ciężka praca wyzwała w Marcinie dawne tęsknoty. Podczas przerwy obiadowej zaszywał się za stodołę i wyjmował ukrytą w teczkę książkę. Sprzyjała mu cisza, pogłębiona szelustem ptasich piór i chrzęstem przetrzucanego w stodole siana.

— Co jest, do k-k-kija ciężkiego? — wpadł na niego majster. — Dycha za godzinę n-n-na czytankach leci!

— A ty czego tak z mordą? — odezwał się niespodziewanie Głaszcz. — Jeszcześmy nawet nie ruszyli z robotą.

— Rozpiętnieź t-t-to całe towarzys-

stwo i szlusi! — wrzasnął majster.

— Oj, oj, o! Dajcie mi go związanego, to go będę grzmocił! — powiedział Heniek. — Nie ma się co czeptać, szlaka na zapas przesiana.

Majster okłapał. Głaszcz, skubiąc wąsy, mruknął:

— Bogiem a prawdą, to ja od szkolnych lat, będzie pięć dziesiątek do tyłu, książki nie miałem w ręku. A ty, majster?

Majster przysiadł.

— A ciebie e-c-c-ko znowu pleprzo? — wykrztusił. — Nie wystarczy, że wiem, jak się obejść z k-k-kielnią i p-p-ionem?

— Nieraz ciągnie człowieka do lepszego słowa — mruknął Głaszcz.

— Po robocie t-t-to ja sobie woleę pół m-m-metra strzelić na tebi.

Zaby zanosiły się rechotem, z liści kasztanów spadały ciężkie krople. Marcin śpiewał.

Dziewczyna widać usłyszała ten śpiew, bo wyszła przed dom. Patrzył na nią z wielką miłością, ale ona, jakby tego nie dostrzegając, wybuchnęła śmiechem.

— No i co? — spytała. — Już nie śpiewasz?

Spotił się. Za długo przymerzał się do ataku, zasiskając w pięści roztrzęsione dlonie. Ale kiedy na chwilę spuściła wzrok, gwałtownie rzucił się ku niej, objął wpił i przycisnął do piersi. Żeby choć pisnęła ze strachu! Ale gdzie tam, zastygła w oczekiwaniu z przymkniętymi oczyma. Nędcydywanie przywarł ustami do jej warg. Rozchyliła je lekko. Staral się przedłużyć pocałunek. Zapamiętanym sposobem amantów filmowych przegiął ciało dziewczyny ku zroszonej trawie. Zachichotała.

— Eee, głupi... Mokra jest i wódką śmierdzisz!

Odepchnęła go i uciekła do domu. Półprzytomny ze szczęścia siedzi przez wieś. Czuł narastający w kroczu ból. Podśpiewywał: „Całowalem dziewczynę, całowałem dziewczynę!”

Nagle coś go zatrzymało. Coś, co zmąciło tę wieczorną radość. Usłyszał dochodzący z ciemności jęk, przechodzący jakby w płacz dziecka. Dostrzegł skuloną nad rowem postać. Rozpoznał Garbusa. Gdy podszedł bliżej, zauważył, że ciałem starego wstrząsają

spróbować. To nieduży zespół. Ostatnio dostali gitarę, więc jakby ci się nudziło...

— Nie mam czasu — przerwał Marcin.

— Nie powinieneś do mnie tak po chamsku — rozalił się Garbus — Ja, Marcinek, biłem się z chłopakami o gazety, żeby z czegoś żyć. A później uciekałem na butorach z kopalni. Trzy miesiące na Sikawie...

— Rzygać się chce! Bez przerwy wojna i wojna! Przez wojnę macie raka i szraczkę, i pypcia na mózgu. A ty na dodatek chłaz przez tę wojnę!

— Marcin — powiedział cicho Garbus — Mnie kiedyś wyciągnęła z rynsztoka jedna dziewczyna. Słyszałem, co sobie przed chwilą podśpiewywała...

Gitara i gładka, myśli Marcin Liksza, i pierwsza dziewczyna. Daleko do niej, cholernie daleko... Ech, bo to wcale nie była ta dziewczyna...

Kończył się lipiec. Padał deszcz. W remizie zaduch, kurz. Orkiestra grała rzewne tango.

— Pośrodku sali siadł na podłodze pijany syn bednarza, nadmuchiując żółta przerwatwę. Dziewczyny chichotały.

— Marcin stał z Elką, głaszcząc leciutko jej ramiona. Była niska, drobna, jej ciemne włosy pachniały lasem.

— Podszedł Florek. Kiedyś Marcin bił się z nim o tę puszczałą pannę, za którą uganiali się obydwaj.

— Co ty ja tak od tyłu? — zapytał Florek. — Nieladnie, panie księgowy.

— Nie zwracaj uwagi — szepnęła Elka.

— Mała, wypuść go na powietrze — powiedział Florek, ciągnąc dziewczynę do tańca. Marcin rzucił się za nimi, ktoś go odepchnął. Spojrzał z wściekłością na intruza.

— Hamuj się — powiedział Ignac. Cheesz przed maturą na kolegium? Przez te dziturawce same nieszczęścia.

— Ty mnie nie ucz! Sam naprawdzasz mnie na panny!

— Dobra, Marcinek — zmiękł Ignac. — Napijmy się i żadnych drak!

— Ignac pracował jako stolarz w Pabianicach. Kawał chłopca z dłońmi jak łopaty i szeroka, wypukłą deką. Bił się rzadko. Był miękki w sobie, a kiedy popił, zbierało mu się na gadanie o życiu i książkach.

— Murarz Stasiu podrzucił pół litra i oranżadę.

— Chodźcie pod wozownię — powiedział. — Bez deszczu i bez obciachu.

— Mnie się podoba London — oznajmił ni stąd, ni zowąd Ignac. — To był gości! Takich już nie ma. Same lewusy tłuką się po świecie.

— Są i porządni goście — zaoponował Marcin. — Ale na tym zadupiu ich nie znajdziesz. Tutaj, to albo facet pije i gównu go obchodzi reszta świata, albo wcale nie pije, tyra i poza końskim ogonem i morgami niczego nie widzi.

— Tak jest, Marcinek! — krzyknął Stasiu. — Takiego baba prowadzi do kościoła, żeby, broń Boże, nie wpadł w zle towarzystwo. Dlatego ja się nie żenię!

— Ignac popatrzył ze smutkiem na Marcina.

— Ty, chudzińko, jeszcze zadziłasz, ale ja? — powiedział cicho.

— Popijemy i zaraz świat będzie piękny! — pocieszył go Stasiu.

— Nie da rady — mruknął Ignac. — Wszędzie same lewusy!

— Teraz jest atom, kurwy i wódka — stwierdził Stasiu.

— A takiego jak London już nie będzie! I takich książek nie będzie...

— Malo czytasz — powiedział Marcin.

— Co ty wiesz!

— On naprawdę czyta — poparł go Stasiu. — He! Nawet Garbus czyta — dodał z uznaniem.

— Kiedy weźmę do ręki coś nowego, współczesnego, to czuję, że...

— Daj spokój — przerwał Stasiu.

— Czuję — ciągnął Ignac — że ten współczesny autor to wymoczek, który siedzi w kawiarni, papieroski popala i wymyśla historie o kumplach artystach. Albo pisze o mekach, jakie przeżywa przy wymyślaniu tych bajdur!

— Marcin objął Ignaca za szyję, pocałował. Ignac odepchnął go ze złością.

— Ech, ty rozprańca! — krzyknął.

— Romantyka na zadupiu, pisarków. Takich jak ty trzeba kastrować, żeby się nie męczyli za długo.

— Święta prawda — cknął Stasiu.

— A całują się tylko pedaly...

— Na czym ten świat stoi? — spytał Marcin. — Wytłumacz, Ignac...

— Kurwa i złodziej rządzą światem — wykrzyknął Ignac. — Filmu amerykańskiego nie widziałeś? Rzną się, gwałca, kradną, lupią z maszynowców! W życiu wcale nie lepiej.

— Jak ci nie tak — doradził Marcinowi Stasiu — to popatrz trochę w oczy Elce. Może ci przejdzie...

— Stał samotnie pod ścianą i wpatrywał się w dziewczynę ze wsi pod lasem. Miała krótko obcięte włosy i bladą twarz. W jej niebieskich oczach można było odczytać smutek. Obok niej, stał smagły, czarnokłó przystojniak z cienkim wąsikiem. Klócił się.

— Jak ci się, Helcia, nie podoba — powiedział chłopak — to spieprzaj do chaty i szoruj gary!

— Dziewczyna uderzyła go w twarz.

— Ulżyj sobie! — zaśmiał się. — No, jeszcze raz!

RYSZARD BINKOWSKI

# BIAŁE ŚWIATŁO



Rys. Janusz Szymański-Glanc

nie znużone drzewa, wokół trawiastego kopca za gruszą uwijały się osy. Cieśla Głaszcz, nie wyjmując z ust zaślimionej brązowej łufki, powiedział:

— Jakby przedłużyli wakacje, robitbyś?

— Nie jest lekko — skrzywił się Marcin.

— Bo mało jest. Mikry jesteś.

— Njm zacznę się szkola, muszę mieć trochę forsy.

— Ojciec nie daje?

— Wstyd prosić. Trzeba zaraz tłumaczyć, po co, na co...

— Aha — kiwnął głową Głaszcz — to najgorsze. A ty pewnie już z lepszymi gośćmi? Póki możesz, pracuj. A majstra się nie bój!

Zakładali stropy we wsi pod miastem. Z rusztowania można było sięgnąć do rosnącej obok sliwy. Kiedy gospodarz nie widział, Marcin zrywał garściami soczyste fioletowe owoce i opychał się nimi, popijając przyniesionym z domu mlekiem.

— Ty! — zająknął się chudy majster. — Jak nie przestaniesz ku-ku-ku-kać za stodołą, to ja cie na zbitą m-m-mordę wywał!

— On specjalnie wlepza za te sliwki — powiedział piegowaty Heniek.

— Co?

— Żeby dnołwa mu na straniu przeleciała!

— Nie migaj się, Marcinek! — powiedział surowo Głaszcz. — Jak zostaniesz urzędnikiem, będziesz wiedział, jak jest i uszanujesz takiego, co ciężko pracuje.

Mileżał. Po wielogodzinnym wciąganiu wiader z zaprawą tak bolały go ręce w przegubach, że wieczorem nie mógł rozpiąć guzików u koscziuli. Ale nie zamierzał odejść z budowy. Chętnie stał przy arte, przez którą przepływał szlak. Nauczył się we właściwym miejscu ujmować stylisko łopaty, arte ustawiał pod odpowiednim kątem, toteż prawie wszystka drobna szlaka przelatywała przez oka drucianej siatki. Pozostawały najgrubsze, przydatne na fundament bryły stopionego żużla.

— I wtedy nie ma mocnego — poparł majstra Heniek. — Na każdą pannę się idzie, na blacharza i księdza jednakoz!

— Majster lubi takich, co sami trager wciągają na strop — powiedział Głaszcz.

— Dobry jestem — zaśmiał się Heniek — ale dzisiaj, po zabawie, łeb ciężki, a w nogach miękko.

— Najpierw robota — warknął majster — później g-g-głajcha!

Wziął się ostro do pracy. Pod wieczór Marcin postawił w rogu stropu wiązkę zerwanych w ogródku astrów.

— Półtora litra m-m-ma być! — powiedział majster wręczając mu pieniądze.

— Dać po całej? — spytał Heniek, nalewając do musztardówek przyniesioną przez Marcina wódkę.

— Daj mu pół! — rozkazał majster. — Picwantych n-n-nie będziemy rozpijać.

Marcin patrzył z odrazą na pijących. Bał się wódki, która przywoziła na myśl ucieczkę z drewnianego domku Garbusa.

— Od kapichny gorzałki jeszcze nikt nie umarł — powiedział Głaszcz. — Wypij, co możesz, i pryskaj.

Wahał się. Ręce mu drżały, starał się ukryć musztardówkę pod stołem, ale majster świdrował czujnym wzrokiem. Wypił. Przez szacunek dla tych dorosłych, silnych mężczyzn, którzy traktowali go na równi nie tylko w pracy, ale i przy stole. Potem, korzystając z niewagi majstra, wymknął się za stodołę i poszedł do wsi.

Po deszczu pachniało ciepłą ziemią i zielenią. Szedł podśpiewując, rozszadło go gorąco, szumiała w nim odwaga. „Na każdą pannę się idzie” — przypomniał mu się słowa piegowatego Henka.

Skręcił między stawy za wsią, w kierunku stojącego na uboczu domku, ponieważ nagle zapragnął bjrzyć tą krągłą, przysadzistą dziewczynę, za którą latali wszyscy chłopcy. On również przebywał z nią nieraz sam na sam, ale zawsze milczał, wstydliwie unikając jej wzroku.

## TEATR

KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI

# KONCERT NA TEMAT WSPÓŁCZESNY I AKTORA

Aleksander Kopkow był pisarzem, którego interesowały przemiany jakie zachodzą w świadomości ludzkiej w nowej porównawczej rzeczywistości („Słoń” powstał w roku 1932). W nich właśnie szukał tematów do „myślenia teatrem” o etyce, o moralnej postawie komunisty.

Nader często, mówiąc o A. Koppowie, przywołuje się twórczość Aleksandra Suchowo-Kobylińskiego (1817-1903). I to nie bez przyczyny, bowiem sam A. Kopkow był pod nieustającym wrażeniem tego gorzkiego dramaturga. Ale nie tylko ta bezpośrednia reakcja stanowiła ma o wpisaniu A. Koppowa w kontekst oddziaływań A. Suchowo-Kobylińskiego. Cała twórczość autora „Słonia” posiada cechy „mieszności” stylu i języka i realizmu tego znakomitego dramaturga drugiej połowy XIX wieku.

Niejednokrotnie zwraca się także uwagę na godną twórczości A. Suchowo-Kobylińskiego pasję z jaką A. Kopkow walczył z powolnym, egoizmem i kombinatorstwem, które funkcjonowały jeszcze w naszym społeczeństwie, jako pozostałość carskiego porządku. Jednak to podobieństwo jest tylko pozorne i polegało na fascynacji „hiperbolami, przy pomocy których A. Suchowo-Kobylin piętnował wyprodukowany przez egoistyczne społeczeństwo ówczesny typ osiadczy i karierowiczów” natomiast A. Kopkow atakuje z pozycji komunisty i atakuje świadomość, aby z niej wykorzystać modele starej rzeczywistości.

Nurt ten jest realizowany i dziś, zwłaszcza przez takich pisarzy jak W. Lipatow i W. Szukyszyn. A poczyniwszy ich prozy skłania do refleksji ogólniejszej, że każda epoka potrzebuje swego „moralisty”. Dla nas jest nim także Aleksander Kopkow.

Dlatego też wydaje się słusznym wybór „Słonia” w repertuarze Teatru Powszechnego, jako kolejna ilustracja repertuarowego, ciągu komponującego „teatr współczesnego tematu”. „Słoń” A. Koppowa utrzymany w stylizacji teatru A. Suchowo-Kobylińskiego otrzymał w reżyserii Andrzeja Kondratyka i scenografii Jana Banucha wymiar realizacyjny. Tym ostrzej zagrała groteskowa scena budowy żepelina, jako główny sens ideowy całej sztuki. Obaj artyści zadali o konkret i realia ludowości w tonacji rosyjskiego humoru.

Wybór takiej drogi interpretacyjnej, podporządkowanej modelowi realizacyjnemu, gdzie substancja literacka decyduje o kształcie spektaklu, określił zadania aktorskie nader precyzyjnie. Aktor mógł oprzeć się na konkretnie oprować nim jak w świecie realistycznym, gdzie motywacja psychologiczna decyduje o reakcjach zewnętrznych. Dlatego też fantastyczna fabuła „Słonia” nie została odrealniona i pozbawiona kontekstu rzeczywistości. Umożliwiło to aktorom stworzenie pełnokrwistych postaci, rodzajowo zróżnicowanych, wyjętych jakby prosto z życia.

Takim był Moczalkin Roman Kłosowski — cwany, chytry, chciwy, ale umiający się wzruszyć, boć przecież posiada tę wrażliwość, która jest dana człowiekowi obcującemu z naturą. Aktor położył tu główny nacisk na pewne zewnętrzne cechy, które łatwo czytelnie trafiają wprost do odbiorcy. Przykładem tego może być zwolniona reakcja ruchowa, toporność gestu, kanciszność figury uzyskana przez kostium, znakomicie ograny, istotną cechą propozycji Romana Kłosowskiego jest zróżnicowana kompozycyjnie, jedyna ludowska, która znakomicie koresponduje z czystością języka. Słowo podawane jest atonalnie. Wzmocnia to efekt odbioru całej tak zróżnicowanej kompozycji.

Na takim samym „zróżnicowaniu współbrzmieniu” były rozwiązane i inne propozycje aktorskie. Ewa Zdziszewska, jako Marfa, żona Moczalkina podjęła drogę jaskrawego realizmu kontrpunktując stany emocjonalne bardzo interesująco. Aktorka używa środków zewnętrznych, prostych, komunikatywnych. Poszukuje raczej swego modus egzystencji w stosunku do postaci Moczalkina niż w odniesieniu do założonej rzeczywistości. W tym samym kierunku, poszukiwani współbrzmienia i funkcji swoich postaci w świecie moczalkinowskim poszli Wiesława Grochowska (Dasza), Michał Szewczyk (Miti) i Teresa Makarska (Paszka). Pomimo jednolitej interpretacji daje się zauważyć pewien indywidualizm. Wyraża się on poprzez bogactwo zewnętrznych środków pisane podanych, budzących reakcje rozważania i sympatii. Posiada to istotne znaczenie zwłaszcza w odniesieniu do Miti i Paszki, bowiem obie te postaci niosą z sobą optymizm mło-

dego pokolenia, myślącego już kategoriami społecznymi.

Dla przeciwnego reżyser zuniformizował pozostałe postaci, ale aktorzy w bogatym materiale tekstowym potrafili znaleźć możliwości różnicowania. Środki, które zostały użyte do tego tak istotnego zabiegu były równie proste i czytelne, jak w poprzednich propozycjach. Ojciec Lukian Czesława Przybył to nawiedzony pop z ludowych przypowieści, Bogdany Wiśniewski swego Panujewa obdarzył niepoohamowanym temperamentem, akcentując dowiec polegający na kontraście między postacią a barwą głosu. Włodzimierz Saar (Kurycin, przewodniczący kolchozu), Zbigniew Niewczas (Caplin), Ewa Frackiewicz (Alia), Marian Wojteczak (Salakin) i Halina Pawłowicz (Warwara) indywidualizowali swoje postaci poprzez jawne operowanie szablonymi myślowymi i skojarzeniowymi. Równie interesująco rozwiązał postać Swioklina Bogdan Kopicowski. Aktor wyszedł ze słusznego założenia, że Swioklin musi być nakreślony w sposób diametralnie inny niż pozostałe postaci, przecież on jeden jest z innego świata, politycznie „górny” nad pozostałymi. Ale, aby ów „wiedzy” nie uronił i nie zdekonsrował nakłada maskę. Bogdan Kopicowski wybrał słuszną maskę dystansowości i opanowania. Użył do tego w studiowaniu poze, precyzyjne gestyki, pozwalające sobie tylko na jeden kontrpunkt (ów niepoohamowany wybuch), który jeszcze bardziej uwypuklił założone cechy postaci.

I tak oto ze „Słonia” spektaklu z „ukrytym sensem” powstał spektakl aktorski, bogaty w indywidualności, a jednocześnie zespołowy. Świadczy to także o tym, że Roman Kłosowski, dyrektor i kierownik artystyczny Teatru Powszechnego widzi „powszechność” także jako „teatr tematu współczesnego” realizowanego aktorem.

Aleksander Kopkow „Słoń”, komedia w 4 aktach, przekład: Klemens Bialek, reżyseria: Andrzej Kondratyk, scenografia: Jan Banucha, premiera na scenie Teatru Powszechnego dnia 29 maja 1978 r.

## FILM

# ŁUDZIE I ROBOTY

Polski tytuł tego filmu budzić może nieporozumienia. „Świat Dzikiego Zachodu” zachęca do wizyty w kinie przede wszystkim amatorów westernu, gdy tymczasem jest to film z gatunku fantastyki naukowej, czyli S.F., i to film wiele ciekawy. Świat Dzikiego Zachodu pokazany zaś jest w krzywym zwierciadle satyry, która nie sprowadza się jednak wyłącznie do jego parodii, lecz ogarnia znacznie szersze rejony problemów współczesnej cywilizacji i jej moralnego oblicza.

Autor filmu — scenarzysta i reżyser — Michael Crichton sam jest pisarzem specjalizującym się w literaturze fantastyczno-naukowej i „Świat Dzikiego Zachodu” (zachowajmy dla porządku ten tytuł, który w oryginalnej brzmieniu „Westworld”) jest jego filmowym debiutem. Film ten świadczy, że Crichton uprawia ten nurt S.F., który konstatuje swe wyprowadza z cech i przejawów ludzkiej cywilizacji na aktualnym etapie jej rozwoju — nie przenosi nas w cywilizację nieznane, nie każe odbywać niezwykłych podróży w czasie, nie każe też oglądać bytów wyrosłych z innej materii. W tym nurcie S.F. wszystko jest prawdopodobne, bo wyprowadza ona jedynie, wyolbrzymione i rozwinięte przez wyobraźnię, wnioski z tego, co możliwe i dziś wyobrażalne. Jako przykłady filmowe tych tendencji S.F., obok „Świata Dzikiego Zachodu” przypomnieć można takie filmy, jak „Alphaville” J. L. Godarda oraz „Fahrenheit 451” F. Truffauta.

We wszystkich tych trzech filmach mamy do czynienia ze światem naszej cywilizacji za lat X, których upływ spowodował jej przeobrażenia, będące wynikiem rozwoju na drodze perfekcjonizowania tego, co już wiadome, znane i wciągnięte w tryby użytkowości technicznej i biologicznej. Światem te trzy filmy, co uderzające, w konsekwencji głównym przedmiotem swego zainteresowania czynią relacje pomiędzy świadomością cywilizacyjną a świadomością moralno-etyczną społeczeństwa przyszłości. W tej grupie filmów „Świat Dzikiego Zachodu” nie jest może pozycją o największym ładunku tych właśnie treści. Lecz choć Crichton nie koronuje nimi swej opowieści, tkwią one w niej jednak organicznie i dochodzą do głosu nawet wówczas, gdy reżyser nie kładzie na nich głównego akcentu.

Zacząć trzeba od tego, że „Świat Dzikiego Zachodu” zbudowany został na znakomitym pomysły, u którego źródła, jak się w trakcie rozwoju akcji okazuje, stoi niezwykle ważne pytanie o tożsamość etyczną człowieka wciągniętego w tryby cywilizacji, która ma czuć nad jakością jego życia. Zamożni ludzie za sumę tysiąca dolarów opłaty dziennej mogą spędzić urlop w krainie swych marzeń — „Disneylandzie” przyszłości, w którym wedle swego gustu mogą wybrać podróży w czasie Imperium Rzymskiego, europejskiego średniowiecza, bądź właśnie Dzikiego Zachodu. Wyprawa ta nie ma jednak nie wspólnego z ową typową w fantastyce naukowej „podróżą w czasie”. Jest ona sytuacja umowna, gra, za którą trzeba tych tysiąc dolarów dziennie zapłacić. Tyle kosztuje elektroniczna fikcja, która ma dać szczęście ludziom, którzy uwierzyli, że szczęście to przyniesie pieniądze sprzęgnięty z cywilizacyjnymi darami techniki.

Film Crichtona w toku błyskawicznej realizacji marzeń i obnaża fikcję autentyczności ich przeżycia w sferze duchowej. Bohaterowie filmu analizują się w świecie robotów, które stworzone są po to, by przyczynić się do realizacji ówczesnych marzeń, mieszają się z ich tłumem w sposób nierozpoznawalny. Są tacy sami jak i oni, a nad zdarzeniami, w których uczestniczą, czuwają jak sami ludzie, którzy przy elektronicznych pulpach sterują zarówno robotami jak i amatorami niezwykłych uciech. Tożsamość fizyczna ludzi i robotów służy piętrzeniu atrakcji i sensacji, dla widza wciągniętego w te emocje rzecz budząca strach staje się jednak ich tożsamość „duchowa”. Jest to ta warstwa znaczeniowa filmu Crichtona, która sprawia, że utwor ten przekracza pułap czystej kinowej zabawy. Ona sama ma przy tym znak pierwszej jakości, tym bardziej że reżyser wykorzystuje w swym filmie pomysły wywodzące się z samej tradycji kina. Bohaterowie „Świata Dzikiego Zachodu” przybyli na wieczny, by bawić się „jak w kinie” — owo „jak w kinie” ożywa więc na ekranie. Znajdujemy się w świecie konwencji przez film uszatkowanej, a przez Crichtona precyzyjnie obnażanych i demaskowanych, choć pozornie odbywa się to w atmosferze ogólnej zabawy, której elementami są na przemian: sytuacje i rekwizyty westernu, wielkiego parahistorycznego widowiskowego kiczu czy właśnie science-fiction.

Elementy tego ostatniego gatunku znajdują przy tym realizację szokującą i fascynującą, jeśli wspomnieć choćby tylko obrazy szpitala robotów, kreacje Yula Brynnera grającego robota wymierzającego na ludziach swa straszną zemstę, czy wreszcie niezwykle obrazy widzianego elektronicznie tego oczyma. Ów mozaikowy, rozszepcony świat, przypominający różnokolorowa mozaikę geometrycznych wzorów i punktów, ma w filmie Crichtona niezwykle urodę plastyczną. I choć w samej akcji służy ona spotęgowaniu strachu i sensacyjności, dodatkowo — wizualna kłamażka zamyka te dzwina opowieść o tym, co możliwe, gdy ludzie utożsamiają się z wytworami swych własnych rak i swego umysłu.

EWA NURCZYŃSKA

## PLASTYKA

# „PEJZAŻ ŁÓDZKI”

Zyjemy w okresie szybkich i niestannych przemian w sztuce światowej. W powodzi narastania nowych kierunków, tendencji i mód usuwamy niejednokrotnie na bok zjawiska skromniejsze, ale istotne. Zapatrzeni w międzynarodową „nowoczesność” gubimy i niepostrzegamy spraw nam najbliższych — polskich, rodzimych, łódzkich. Mam na uwadze pejzaż, temat zaniedbany przez młode pokolenie plastyków, a tyle miejsca zajmujący w historii naszej sztuki, sprawę na ogół zbywaną, pozbawioną nowatorstwa, twórczo stabilną. Z tych też względów z dużym zadowoleniem należy przyjąć ogłoszony i rozstrzygnięty konkurs malarstwa na pejzaż łódzki, który zmobilizował do wypowiedzi twórczej artystów wszystkich generacji. Pociągająca jest, że na konkurs wpłynęły prace młodszych, a nawet bardzo młodszych twórców i że, wśród nagrodzonych i wyróżnionych w przeważającej większości znaleźli się właśnie oni.

Po tych refleksjach natury ogólnej przejdźmy do bardziej szczegółowej analizy samego pokazu prac konkursowych — mieni się on różnorodnością technik, tworzyw i interpretacji, czasem nawet tego samego tematu, czy fragmentu. Stąd brak monotoni wyrazu plastycznego i bogactwo doznań. To malarstwo, które jest czystym warszatem koloru, światła i klarownie podanym tematu. Każda z przedstawionych prac jest narracją o dniu dzisiejszym i przemianach zachodzących w wielkim mieście. Niekiedy odzwierciedla obraz minionej epoki, wydobytą specyficzną jej klimat i kolorystykę, tak jak to zrobił Kazimierz Kędzia, Stanisław Cuchra-Cukrowski czy Józef Skrobiniński malujący obraz pt. „100 lat temu”.

Przedstawiony świat na obrazach łódzkich malarzy nie jest tylko czystym zapisem wrażeń zmysłowych i dosłownym wizerunkiem miasta, ale także emocją i skojarzeniem jakie wywołują i historia tego miasta wywołują, to także lęki, obsesje i fascynacje.

I tak obrazy Heleny Tchórzewskiej są jak gdyby wyrazem zachwytu nad otaczającym nas światem. Potrafi ona wydobycie niezaprzeczalne piękno, urok i wielkość tkwiącą w starej architekturze, w jej detalach. We wszystkim, co opisuje swym pędzlem jest baśniowość, romantyzm, a jednocześnie zaduma nad czasem, który przemija.

Pejzaż łódzki w obrazach Krystyny i Benona Liberskich, Jadwigi Glowackiej i Józefa Skrobinińskiego jest uporządkowany przez człowieka — suchy, zimny i bezładny, a przez to niepokojący. To świadoma kreacja. By zachować pełną obiektywność zjawisk — artyści ci nie chcą ukazać własnych emocji.

Przedstawiona twórczość łódzkich malarzy jest prawdziwie szczerą i otwartą. Artyści korzystają w użytecznym dla siebie stopniu z praw i doświadczeń nowoczesnej stylistyki malarstwa. Niekiedy młodzi twórcy zgola odmiennie i inaczej widzą i przedstawiają otaczający nas świat. Pejzaż Andrzeja Bartczaka i Leszka Stanckiego są drapieżne malarstwo, operujące skrótami, trochę nieokreślone w swej warstwie wrażeń, ale dojrzałe warsztatowo. To po prostu realizm w interpretacji młodszych, nonzalancki warsztatowo i odcinający się od tradycji.

W ciekawym trochę reportażowym ujęciu, przypominającym kadr filmowy przedstawia swój pejzaż Andrzej Sadowski, który został słusznie przez jury zauważony i nagrodzony.

Do najciekawszych prac konkursowych zaliczyłabym obraz „Stara Łódź” Benona Liberskiego i „Trzy kolumny” Krystyny Liberskiej. To obrazy o bardzo przejrzystej i prostej kompozycji, oszczędne w doborze środków wyrazu, uderzające swym nastrojem i niepowtarzalnym klimatem.

Reasumując — to bardzo interesująca i udana wystawa. Zachęcam do jej obejrzenia.

K. POTOCKA-SUWALSKA

## KSIĄŻKA

TADEUSZ BŁAŻEJSKI

# LITERACKIE KIEŁCE

Okolca moja — górnicza —  
Zaziemiona polami,  
Zadrzewiona lasami,  
Ułożona nadwodnie,  
Urzeczona przypłynie.  
Okolca moja — pagórnica —  
Ojczyzna

Godzi się bez wątpienia zacytować w służebnej funkcji fragment jednego z wierszy Stanisława Czernikowa, uosabiającego poleknień swego rodzaju arkę przetrwania między Kielecczyną a Łodzią, jako że wybitny ten poeta — nierozdzielnie z naszym miastem złączony — rodem jest właśnie z Ziemi Kieleckiej Czernikowem nie jako tropem podążająca leczni następcy — od lat bowiem Literackie Kiełce ciągną ku Łodzi, poszukując tu przede wszystkim instytucjonalnego wsparcia w oddziale Związku Literatów Polskich oraz w wydawnictwie ofiwnie.

O pisarskiej teraźniejszości Kielecczyny niepodobna wszakże mówić bez najmniejszego choćby odniesienia do tradycji, żywotnej w tym rejonie tak mało gdzie indziej w naszym kraju, tradycji, do której współczesni twórcy często i chętnie nawiązują. „Najstarszym poetą tej ziemi jest Dab Bartek” — napisał w programowym wierszu „Civitas Kielensis” Ryszard Miernik, jeden z bardziej znanych autorów kieleckiego środowiska literackiego, i w obrazowym tym stwierdzeniu zawarł całą istotę „świątokrzyskich szlaków literackich”. Niedawno zmarły historyk literatury polskiej Juliusz Nowak-Dłużycki w jednej ze swych prac („Udział regionu kieleckiego w kulturze narodu”, Kielce 1949) nazwał region ów kolebką naszej literatury. Stąd pochodzą przecież jeden z najstarszych zabytków języka polskiego — „Kazania świętokrzyskie”, tu znajdują się Nagłowice i Czarnolas — siedziby Mikolaja Reja i Jana Kochanowskiego. A potem następuje długi łańcuch nazwisk wybitnych ludzi pióra aż do Stefana Żeromskiego — najbardziej wyrazistej chyba i najpowszeźniej znanego pisarskiego symbolu tej ziemi. Jak zaś wygląda sytuacja dzisiaj? Za-

ówno wydany przed trzema laty w Radomiu informator „Współczesni pisarze Kielecczyny”, jak i opublikowana dopiero co przez Wydawnictwo Łódzkie książka Stanisława Mijasa „Ojczyzna w ojczyźnie” stosują niezwykle szerokie kryterium, zaliczając w poczet twórców Kielecczyny autorów tam urodzonych, lub też o ziemi tej piszących. Znaczące to i doborowe grono, ale w zdecydowanej większości rozsypane po Polsce, w samych zaś Kielecach tworzy aktualnie około trzydziestu adeptów pióra, spośród których do Związku Literatów Polskich należy czterech: Sylwester Banaś, Henryk Jachimowski, Ryszard Miernik oraz Stanisław Krawczyński (dwaj ostatni są członkami oddziału łódzkiego). Połowa z nich to ludzie młodzi, zrzeszeni w Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy. Podstawowa forma organizacyjna literatów w Kielecach jest Klub Literacki, powołany do życia 21 grudnia 1963 roku. Do dzisiaj, ze powstania Klubu Literackiego poprzedziła intensywna działalność grupy artystyczno-literackiej „Ponidzie” (nazwanej tak od Nidy), założonej w roku 1960 w Jedrzejowie. W ciągu całego dziesięciolecia wykazywał Klub ożywioną aktywność (ślady jej zarejestrowano między innymi w kronikarskim zapisie opublikowanym w jednym z numerów „Zeszytów Kieleckich”). Trzy są kierunki rozwoju działalności Klubu. Pierwszy określić można stereotypowo jako domenę spraw organizacyjnych, w których zmieścić się także imprezy jak na przykład organizowanie Ogólnopolskiego Zjazdu Młodych Pisarzy, doprowadzenie do spotkania pisarzy „pochodzących z Kielecczyny” w związku z obchodami IX wieków istnienia miasta Drugi koncentruje się wokół zagadnień warsztatowych, i polega na prowadzeniu literackiego studium (nasuwa się tu pewna analogia z „Przedmieściem” Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego). Trzeci wreszcie polega na szeroko pojętej popularyzacji zarówno własnych osiągnięć twórczych, jak i dorobku całej współczesnej literatury polskiej. Celowi temu służą Świątokrzyskie Dni Kultury, a także różnego rodzaju sympozja, „biesiady” literackie jedna z ostatnich tego typu imprez było dwudniowe spotkanie w Bocheńcu w końcu minionego roku). W o-

bręb tego nurtu działalności włączyć trzeba również konkursy literackie, w organizowaniu których kielecczanie wykazują wyjątkową preżność, zarówno w konkursach o zasięgu regionalnym, jak i ogólnopolskim.

Każde środowisko literackie, bez względu na wielkość i rangę, musi posiadać możliwość publikacji, mieć do dyspozycji prasę oraz wydawnictwo, aby mogło prawidłowo funkcjonować i normalnie rozwijać się. Autorzy kieleccy osiedli między Krakowem, Lublinem, Warszawą a Łodzią. Najbliższe kontakty łączą ich właśnie z naszym miastem.

Wkrótce po rozpoczęciu działalności kieleckiego Klubu Literackiego powstała „Tribuna Ludu”. „Największym osiągnięciem Klubu jest nawiązanie kontaktów z Wydawnictwem Łódzkim, w rezultacie których należy się spodziewać, że w perspektywie najbliższych lat Klub osiągnie swój cel przystosując grunt do powstania oddziału ZLP w Kielecach”. Cel ten nie został jeszcze osiągnięty, sama zaś współpraca z wydawnictwem także przedchoziła okresy, niemniej jednak jeśli zestawili bibliografię kielecka ostatniego piętnastolecia, to okazało się, że absolutna większość pozycji została wydana w Łodzi: książki Waldemara Bobinicza i Ewy Dąbrowskiej-Orzełskiej, powieści i wiersze Ryszarda Miernika, tomiki Henryka Jachimowskiego i Bogdana Pasternaka, szkice historyczno-literackie Stanisława Mijasa, gawędy i opowiesci Świętosława Krawczyńskiego, zbiorówki „Ponidzie”, utwory z kręgu literatury faktu Bronisława Zapaly, Zbigniewa Nosała oraz Agnieszki Barłóg.

Dorobek tego środowiska jest dość znaczny i zróżnicowany poezja stanowi wszakże obszar najczęściej i najchętniej odwiedzany, zwłaszcza przez najmłodszych. Wiersze ich publikowane są w Literackiej Bibliotece „Przemian”, w cyklicznym almanachu poetyckim „Bazar” i w swolistej formie „plakatu poetyckiego”. W ostatnich miesiącach nastąpiło wyraźne ożywienie literackiej współpracy między Kielecami a Łodzią, miemy też nadzieję, iż przybliży ono realizację ważnej dla kieleckich twórców sprawy — utworzenie samodzielnego oddziału Związku Literatów Polskich.

„OBLICHE ŁODZI POETYCKIEJ”

Nie zgadzam się z podziałem dokonanym na żywym ciele poezji przez wydawcę i krytyka Tadeusza Błażejewskiego w jego artykule „oblische Łodzi poetyckiej”. Włodzimierz Majakowski powiedział przy jakiejś okazji, że „Potrzeba nam poetów wielu i różnych”. Można założyć, iż popularne zawołanie spowodowało wypowiedź Błażejewskiego. Mogło stać się kluczem, niestety kluczem się nie stało, lecz wytrychem tak źle wykonanym, że najbliższy włamywacz żadnych drzwi by nim nie otworzył, a cóż dopiero mówić o otwarciu bramy do Królestwa Poezji.

Być może, iż rzeczą krytyka jest szulardkowanie, zaliczanie, dzielenie, siekanie, wyodrębnianie, schematyzowanie, dzielenie kłosa, włos, ziarna... Być może? Zjemy i tworzymy w kraju demokratycznym i nawet krytykowi nie możemy takiego rozumienia poezji zabronić, ale jest moim obowiązkiem najdobitniej napisać, nie ma zgody na tak dokonany podział poezji i poezji, gdyż poezja jak ja ją rozumiem jest zjawiskiem niepodzielnym. Nie ma poezji o diabłach i o aniołach, wiersz o diable jeżeli taki wiersz został przez poetę napisany i drugi wiersz o aniele, który został napisany przez innego poetę, to są tylko wiersze o diable i aniele. Są to wiersze, o których można powiedzieć, że poezja, ale nie ponadto, bo ponad to już sugerowanie, że jeden poeta opowiada się za diabłem, zaś drugi za aniołem. Wskazuje się palcem, iż to jest białe a to czarne, a jak wygląda sprawa z aniołami i diabłami o tym codziennie, na każdym kroku przekonujemy się na własnej skórze. Wybór należy do mnie, do ciebie, sumienie indywidualne musi tutaj decydować o takim czy innym wyborze.

Mamy w Łodzi (w Polsce!!!) wielu różnych i dobrych poetów i z tego dobrodziejstwa winniśmy się cieszyć, obojętnie jakby się cieszył Majakowski, cieszyć się z takiego stanu posiadania łódzkiej (polskiej!) poezji, ale nigdy nie wpadłoby mi do głowy, nawet wtedy kiedy mam tę głowę w obłokach posiadawcy np. Jana Huszczy czy Mieczysława Michała Szargana tylko o dysonans, swoiste poczucie humoru (a i Huszcza i ja mamy takie poczucie humoru, na szczęście mamy!) i myślę dalej, że ani Huszcza, ani ja nie wypieramy się, iż nie holdujemy każdy na swój sposób poezji „konceptu kulturowego” czy „dowcipu intelektualnego” jak chce Błażejewski, ale nie zgadzam się już kategorycznie, przynajmniej jeżeli chodzi o moją poezję o przypisywanie mi zgola „skłonności ludystycznych”. Szulardkowanie nie jest w stanie odebrać poezji barw. Zarzucam Błażejewskiemu daltonizm w ocenie ideowej i myślnie szeregowanie estetyczne dzieła artystycznego jakim również jest poezja. Norwid jest poetą narodowym nie tylko dlatego że w poezji jego pojawia się temat pracy i patriotyzmu, ale także dlatego, a może przede wszystkim dlatego, że ujrzał jak żaden poeta przed nim kwiatek z polskiej łąki. Błażejewski zaś w sposób sztuczny, sprzeczny z poetyckimi dowodami takie rozróżnienia — podzielił wprowadził do swego artykułu i przeciwko takiemu rozumieniu poezji mój sprzeciw. Bo może się „tak zdarzyć, iż Błażejewski zakwalifikuje mnie do poetów spod szyldu salcesonu i kielbasy zwyczajnej, bo od ojczyzny, poezji patriotycznej, czy też liryki obywatelskiej, od „wyspy istnień chwilowych”, „refleksji intelektualnych”, „od pytań o sens naszego bytu” i wszelkim z tym zagadnieniem związanym niepokojem ujętym chyba najlepiej przez... No właśnie przez kogo? Może na to pytanie odpowie mi anioł. Nie, anioł i diabeł i kiedyś być może Błażejewski?

MIECZYŚLAW MICHAŁ SZARGAN

Od redakcji:

M. M. Szargan nadał swojej polemice tytuł: „Anioły i diabły czyli o tendencjach porządkujących”. Wszystkie polemiki i listy drukujemy pod tytułem artykułów, do których się odnośz.

TOMASZ SOLDENHOFF

## WIOSNĄ W ANGLII

16 maja 1976. O szóstej rano oglądamy siebie z przyjemnością: wreszcie na tobołach „Pstrąg” jednak pojedzie do Anglii. Przed siódmą słyhać autobus, który przez tydzień będzie domem, ruchomą Polską. Pod Wrocławiem zapadamy w niezdrówy sen, upalny. Popołudnie zbliży nas do granicy. Opolno-Zdrój przytułi na pół nocy, herbatę, pięciogodzinny sen. Przed nami: najbliższa doba w samochodzie. Tylko robi się smutno na widok anteny radiowej beźmyślnie wyłamej w nocy z autokaru. „Skradł muzykę” — powie Michał.

17 maja. Równiny NRD o świcie. Na wczesnorannym postoju szeleści suchy prowiant. — Jak jest po niemiecku drat? — pyta ktoś. — Drat — odpowiada prof. Stanisław Kaszyński, teatrolog, najlepszy germanista wśród obecnych. Po chwili pożyczony na szosie, niemiecki drut znów ściga muzykę do naszych uszu.

Jedziemy dobrym tempem. Solidna autostrada przepływa ponad Dreznem, Weimarem, Erfurtem, wśród wzgórz.

Niemiecka granica. Budynki, stanowiska, ceremonie długa się.

Morgen, wiechac na pas słodny!

A gdy zbliża się nowy strażnik, mniej oficjalny, w rozpiętej koszuli z krótkim rękawem, ryzy, z wypiętym brzuchem, zamerykanizowany — nie patrząc na flagę poznajemy Niemcy Zachodnie.

— Broń, narkotyki, pornografia? — pyta i znika.

Wpadamy na kolejną autostradę. Teraz: Kassel, mającą w upale kopalnie Oberhausen, przecinamy niemieckiego potwora samym środkiem opasłego kadłuba. Czystość, owsem, reklamy i najkrótsza odprawa graniczna między RFN a Holandią.

Holandia z okien pedącego autokaru skutecznie utrwała znane stereotypy: nieskończone pastwiska, mosty zwodzone na kanałach, czekoladowe domki z białymi okiennicami, przed każdym domkiem — miniatura wiatraka. Wielopostulowane autostrady. Z ciekawością przglądam się energicznym pracem dziesiątek koparek w pełnym jeszcze wody korycie nowego pasa autostrady. Na przedmieściu Rotterdamu kiwa do nas wiatrak. Nagły atak nostalgii: czuje się tak w tutejszej wiosnie, jakbym wjeżdżał między ogródki działkowe łódzkiego Zdrawia.

18 maja. Nieco wrażeń z Londynu, obwahanego na początek Anglii, wrażeń poszatkowych przez pośpiech. Zapuszczam się w jedną z bocznych dzielnic. Wiele oryginalnych twarzy: hin-

o kolicach Hade Parku, gdzie nie o-mieszkalimy powyrzekać głośno i otwarcie na podóz, przewodnika, pogodę, organizację, senność etc., ale także przez mozolny „korek” przed wjazdem na autostradę (udało się pokonać kilometr w ciągu godziny).

Wreszcie jednak upragniona Motorway M-1 North. Dla nas znaczy to: pęd, powietrze, pejzaże. Gdzieś pod Leicesterem płonie na szosie ciężarówka. Kierowca w kombinezonie wymachuje rozpaczliwie i daremnie. Okrucieństwo autostrad: tu nie wolno się zatrzymywać. W okolicach Derby teren zaczyna się fałdować. I fragmenty przemysłowej Anglii — rafinerie i kopalnie Sheffield, a wśród wzgórz regularne osiedla robotniczych domków.

Zmierzcha i pada, gdy bardzo długo wjeżdżamy do Bradford. Szczerze mówiąc, nie wiadomo, w którym miejscu się zaczęło, od niedawna dopiero okoliczne osiedla skupiły się pod administracyjną władzą Bradford. Teraz Bradford — drugi po Leeds ośrodek hrabstwa Yorkshire, liczy ponad 200 mil kwadratowych. Porwana z ulicy Anglika wskazuje drogę przez malownicze city o sporych różnicach wzniesień ulic. Wreszcie miasteczko uniwersyteckie — kilkanaście dużych gmachów (ogółem w samych domach studenckich, których jest 72, mieszka 4 tysiące studentów). Teraz syją się miłe niespodzianki: widzimy plakaty naszych przedstawień na ulicy, pierwszym człowiekiem, z którym rozmawiamy, jest Polak (zaraz też słyszę: „Góral ci ja góral, spod samiuśkich Tater...”), a dyrektorka teatru w Bradford wita nas naręczem czerwonych róż.

Tego wieczoru, po spotkaniu z angielską kuchnią, długo jeszcze trwają rozmowy w tutejszym teatrze (z dawnego młyna). Po cichu nasz zespół zazdrości świętym warunków angielskim kolegom. I jeszcze jedno: do trzeciej w nocy, w domach akademickich w Bingley, nie ustaje szum wody w wannach. W ten sposób oddaliśmy wspomnienie podróży.

19 maja. W hallu jednego z gmachów uniwersyteckich, Michał Czernaew — Bułgar, student warszawskiej ASP, autor kostiumów i scenografii do obu przedstawień „Pstraga”: „Grala” i „Ziemi Jalowej”, przygotowuje wystawę malarstwa i grafiki. Dzisiejszy spektakl ma uświetnić otwarcie nowej sali Theatre in the Mill.

Inscenizacja wymaga gruntownej przebudowy sceny, nasi angielscy przyjaciele pracują z wielkim oddaniem,

„na drinka”, którym okazuje się parząca podniebienie curry, ostra potrawa w jednej z licznych tu hinduskich knajpek, szczególnie ulubiona przez studentów. Podobnych lokali jest więcej, Hindusi, obok Murzynów i Polaków, tworzą w Bradford duże skupisko.

— Udało się już nam, jako drugiemu w Anglii uniwersytetowi — po Cambridge, wywalczyć jednakowe opłaty za studia dla „kolorowych” i białych, 200 funtów czyli około 4000 dolarów — powiedział mi prezydent tutejszego Związku Studentów, Mick Cooper.

A Polacy? Jest ich tu około 10 tysięcy. Zazwyczaj mówi się tu dobrze o Polsce.

Jest w Bradford klub emigrantów z obfite zaopatrzonej barkiem. Gmach to „dosyć” płaski. Poza tym błąka się po przestronnych salach widma Andersa na białym koniu, a ludziska ponoc modlą się jeszcze — za duszę Wielkiego Marszałka. Jednak najbardziej fanatycznie czytelnicy „Dziennika Polskiego” i „Orla Białego” stanowią tu liczną mniejszość — jak mnie o tym zapewniali przedstawiciele najmłodszej generacji, młodzi Polacy urodzeni już w Anglii, znający jeszcze język polski. Usłyszawszy o „Pstragu” przybiegli i bardzo pomagali w tutejszych kontaktach. Chcą jeździć do Polski. Mówią o niej z sympatią.

20 maja. Prof. dr Stanisław Kaszyński wygłasza interesujący odczyt o polskim teatrze studenckim, a dr Sławomir Swiontek, przedstawia w syntetycznym zarysie najnowsza historię sceny polskiej. Sporo pytań, zwłaszcza o charakter związków między naszym teatrem studenckim a zawodowym, o wpływy polityki kulturalnej na sytuację teatru w Polsce.

21 maja. Handlowe city Bradford. Na skwerkach starzy Hindusi w żawojach. Sprzedawcy gazet, którzy przekrzykują się krótkimi, przeraźliwymi szczełkami. Nastrojowe wizyty w niektórych tutejszych kościołach, które pozamieniano na magazyny, zamknięto na cztery spusty albo oddano na schroniska różnym instytucjom jak Scenic Studio. Przynębiające zaułki, podsyte wiatrem, przypominają nieco „miasteczka na południu” z amerykańskich filmów. Cuchnące, zaśmiecone dzielnice garaży, ponurych magazynów, fabryk, żółto-czarnych murów. Odludzie.

W Anglii każdy śmieć na swoim miejscu. I w Bradford i w Londynie szedłem ulicami brudu. Ale tu śmieć jest tylko w miejscach dozwolonych:

zdrową konkurencją: wbijaniem piłki do dołka.

Tego jeszcze dnia zespół „Pstraga” składa oficjalną wizytę w Ratuszu. Po jakimś czasie (choć kawa wypita, a ciasteczka zjedzone) stwierdzam, że państwo merostwo zapaliło ku nam sympatią i, co dziwniejsze, przedłużają audycję ponad przyzwyczajenie. Oglądamy już nie tylko insygnia władzy, pokój, w którym mieszkała królowa Anglii, gabinety, salę bankietową, ale na dłużej zatrzymujemy się w sali obrad Rady Miejskiej. Lord Mayor przedstawia szereg urządzeń, np. wielki dzwonek, dzięki którym może okazywać swoją dezaprobatę męczącym mówcom.

Lord Mayor wydaje się być sympatycznym, pogodnym starszakiem. Z przyjemnością gawędzi o jednym ze swoich poprzedników, który wybrany, trafił chęć, na Prima Aprilis, sprawował swe władztwo jedenaście godzin. Otrzymałszy zaś prezent od polskich gości, Lord Mayor zaskakuje pytaniem: czy to prezent prywatny czy też dar dla miasta?

22 maja. Bradford leży u podnóża gór Pennińskich. Wycieczka „przez country” — lyk górskiego powietrza na pierwsze oznaki nostalgicznej, angielskiej nudy. Krętymi, asfaltowymi dróżkami wspinamy się (wygodnie rozparci w autobusie) wśród deszczowych wzgórz.

Na jednym z rozległych stoków widać się Haworth, miasteczko słynne z sióstr Brontës autorek sentymentalnych romansów. Cała osada zwrócona jest ku owym paniom, kult osiąga chyba nieco przesadnie rozmiar... Można więc tu nabyć nie tylko dzieła wszystkich trzech sióstr, ale także i same siostry z tweedu, a tę rodzinną maskotkę powiesić za miękkie szyjki pod lusterkiem samochodu.

23 maja. O Anglikach kraży fatalna opinia, że czytają mało. Samo Bradford, miasto 300-tysięczne, ma raptem dwie księgarnie. Na domiar tutejsi Polacy potwierdzają tę znaną u nas pogłoskę. Z pewnością Brytyjczycy pochłaniają więcej gazet, przeglądają kolorowe periodyki: prawdziwe odbicie wyrafinowanego świata wielkiej konsumpcji. Natomiast bestsellerami są nadal „Emanuel”, „Trójka Bermudów” i „Dzień Szakala” Fryderyka Forsytha. Sporo wydawnictw modnie łączących wiedzę astrologiczną z seksualną, regularnie ukazują się książki horoskopy. Bardzo obfity jest dział science-fiction. A popularnych wydań klasyków (literatury, filozofii, psychologii) możemy Anglikom jeszcze zazdrościć. Książki są jednak drogie, czasem zaskakująco drogie.

Na tutejsze scenie pojawia się dziś jeszcze jeden zespół. Po południu młodzi aktorzy z londyńskiego teatru „Shared Experience Company” zapraszają aktorów „Pstraga” do wspólnych ćwiczeń, workshopu, zaś wieczorem dają spektakl „Noce arabskie”, oparty na bajkach wschodnich, tyleż mądrych co i pikantnych.

Na pożegnany party spotykają się wszystkie zespoły. Teraz mnożą się przyjacielskie gesty: wymieniamy plakaty z podpisami i toasty. Zapraszamy do Polski.

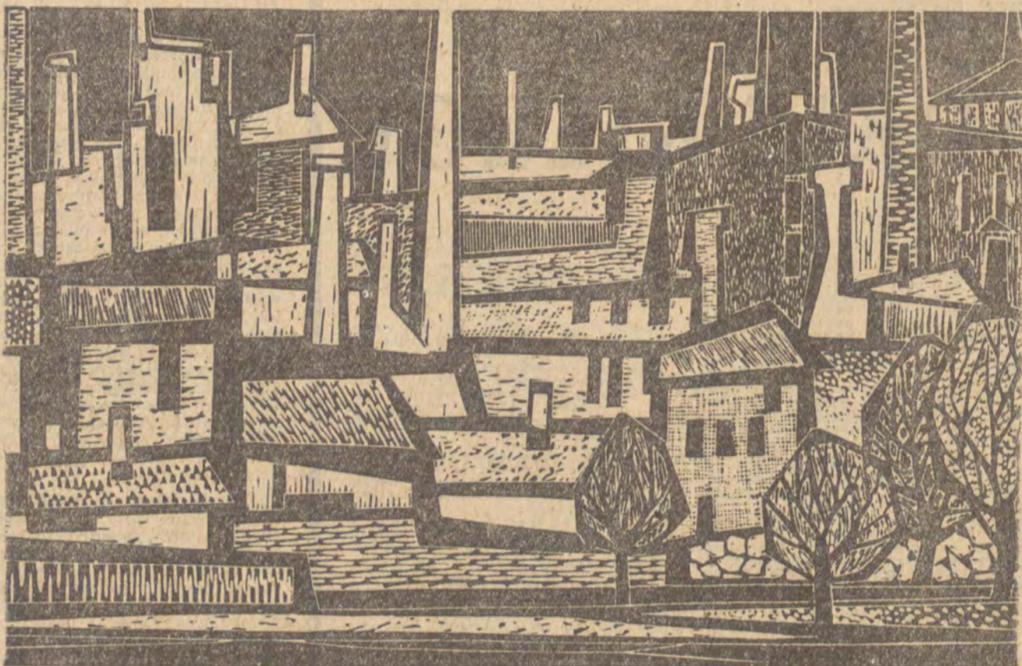
25 maja. Już w pół, na południe, ku Polsce. Hrabstwo Essex: tunele zieleni, brytyjska wiosna. Ale ta zieleń, myślę, trochę inna, obca: kraży w różnych odcieniach, ale w środku nie trafia, bo zieleń środkowa, ta zieleń jest polska... Moją włosną zobacz za trzy dni. Tu nawet strachy na wróble Inne. Starannie wycięte z dykty, w mundurach, z bronią w ręku albo chorągwią, taką jaką u nas spotyka się jedynie na procesjach.

Najczęściej czytane napisy w Anglii: „Private” — uliczka, skwer, trawniczek. Albo: „no parking” i żółty pas na jezdni ostrzegający przed parkowaniem. Ledwo zresztą widoczny: spod karoserii samochodów. W Harwich mijamy kamienicę z szyldem: „Salvation Army Citadel”. Na angielskim papierze toaletowym czytamy zaś: „Teraz umyć, proszę, ręce”...

26 maja. Rano, w Hoek van Holland, zauważam wpływający do portu statek pod polską banderą. Niedaleko Amsterdamu znowu polski głos przez radio: „List z Polski. Łączymy się z Olsztynem”.

Amsterdam: w sklepach już truskawki. Ulice nad parkami, gdzie tabliczki: „Nie spać”. Miasto poprzecinane kanałami z pałaczkami nad wodą, kolorowe mieszkalne barki na wodzie, zabytki architektury mieszczańskiej. W jednej z bocznych uliczek natrafiam na sex-shop. Co zobaczyłem — to dla siebie (adres znany redakcji). O bogostawionym, łagodnym wietrze naszej kultury erotycznej...

27 maja. Powrót przez niź, który nad całą Europą. Odległość do kraju mierzona kolejnymi wizytami w kółkach. Przed granicą holendersko-niemiecką gubimy się, kręcimy w kółko. A na polskiej granicy próba cierpliwości. Po dwóch godzinach zjawia się celnik i z miejsca prosi o pamiętki. Wyciągamy teatralne plakaty. Przemitylnicy „Playboya” oddychają z ulgą. Klaksonem witamy pierwszą furmankę.



duskich, murzyńskich, skośnookich, dużo kurzu i dzieci. Stragany z najtańszą konfekcją (która jest bardzo droga), dziwny sklepik pełen rzeczy z demobilu, ze wszystkich bodaj ostatnich wojen, także kolonialnych. W narożnych pubach Anglicy rzucają strzałkami do tarcz, gasząc upał piwem z wysokich szklanek.

W Harwich, nad morzem było pochmurnie — nie przeczuliśmy upału, który zmęczył nas w Londynie i obrzydził go: trzy godziny wyjeżdżamy z dusznego miasta. Wprawdzie

ale napięcie rośnie: jeszcze trwa montaż dekoracji, a już wymiata się pył, aktorzy zaś robią powtórki sytuacyjne. Sam, podobnie jak reżyser spektaklu, Krystyna Piaseczna i pozostali koledzy, przeżywam spore emocje, tasmując — po raz pierwszy w życiu — monumentalny kostium (choćby to dobre 3 kg na głowie...) Koszty podróży wymagały, bym jako autor wierszy przedziwiał się na dwa wieczory w postaci Sflinsa. Czeka mnie więc „sójka” aż do drzenia łydek. Z ulgą człapię za kulisę. Ze sceny jedziemy

w dzielnicy fabrycznej, pod bramą garażu, przy płocie magazynu... Jest oczekiwany, koniecznym kontrastem dla wyciekających osiedli małych domków, kolorowych, czystych, otoczonych zielenią.

Kiedy indziej pójść do miejskiego parku, niedaleko dzielnicy hinduskiej. Jest niedziela, więc odwiedzają go Hindusi w tradycyjnych strojach, fantastycznie poprzebierane dzieci.

Jeszcze inny angielski obrazek: korty i pola golfowe. Sztwonne, wystrójone angielskie rodziny emocjonują się



U PRZYJACIOŁ

ZSRR

Za kilka dni rozpocznie się w Moskwie VI Wszechzwiązkowy Zjazd Pisarzy ZSRR, najpotężniejszej organizacji literackiej świata. W jej skład wchodzi prozaicy, poeci, dramaturdzy, tłumacze, krytycy i literaturoznawcy, tworzący w języku rosyjskim i w językach innych narodów Kraju Rad. Ich praca tworzy wielonarodowościową literaturę radziecką — zjawisko nieznanne dotąd w dziejach literatury światowej.

Zrodzona dzięki Wielkiemu Październikowi przyjaźń narodów Kraju Rad — to także przyjaźń bratnich literatur. Nieprzypadkowo do klasyków literatury radzieckiej obok Gorkiego, Majakowskiego, Błoka, Jęsielina, Szołochowa, Fiedina i Tichonowa zaliczamy również Pawła Tyczyńskiego i Maksyma Ryłskiego, Janka Kupala i Jakuba Kolasa, Galaktiona Tabidze i Egisze Czarenca, Wilisa Łacisa i Salomee Neris. Ich spuścizna należy dziś do wszystkich narodów zamieszkujących ZSRR, tworzy zrab wielonarodowościowej literatury radzieckiej. Skarbnicę tej literatury wzbogacają swym dorobkiem Gruzini i Ormianie, Abchazowie i Dagestańcy, Turkmieni i Kirgizi. Pojawiały się literatury narodów dalekiej północy — Czukczów, Nienców, Ewenków, Jukagirów i wielu innych, które do 1917 r. nie miały nawet swojego alfabetu.

„Literatura radziecka — powiedział 42 lata temu, podczas pierwszego zjazdu pisarzy radzieckich Maksym Gorki — przy całej różnorodności jej talentów i nieustannie wzrastającej liczbie nowych uzdolnionych pisarzy, powinna tworzyć jedną organizacyjną całość, stanowić silny oręż socjalistycznej kultury”.

Kiedy sięgamy dziś do materiałów owego zjazdu zastanawia ogrom i bogactwo poruszanych tam problemów, zastanawia ich nieprzemijająca żywość i aktualność.

SFRJ

Jak pisał belgradzki dziennik „Polityka” przeciętnie w ciągu roku ukazuje się na świecie ok. 60 tytułów książek autorów jugosłowiańskich. W latach 1945-75 przetłumaczono ponad 1600 tytułów ok. 250 autorów mieszkających w Jugosławii. Jeśli dodać do tego poszczególne wiersze, nowela, fragmenty powieści publikowane w czasopiśmie innych krajów, to można uznać — stwierdził dziennik — że literatura narodów jugosłowiańskich jest dobrze reprezentowana w świecie.

Według danych jugosłowiańskiej Agencji Autorskiej najwięcej przekładów ukazało się w Czechosłowacji i na Węgrzech, a następnie w NRD i RFN. Z ponad 1600 książek autorów jugosłowiańskich przetłumaczonych w ostatnim 30-leciu, niemal połowa przypada na 10 autorów, przy czym Ivo Andrić miał 230 tytułów w różnych krajach, Križna — 83, Bulatović — 63 i Nuszic — 56.

Największym zainteresowaniem cieszy się jugosłowiańska literatura piękna, a najwięcej książek tłumaczonych jest z języka serbo-chorwackiego oraz słoweńskiego. Np. w roku 1972 z serbo-chorwackiego przetłumaczono po jednej książce na duński, gruziński, litewski, i hiszpański, po dwie na włoski, japoński, moldawski, ukraiński i norweski, trzy na szwedzki, cztery na polski, rosyjski i francuski, na czeski — 5, na słowacki — 7, rumuński — 8, niemiecki — 9 i angielski — 11.

Jednakże, jak pisał „Polityka”, współpraca jugosłowiańskich firm wydawniczych z firmami zagranicznymi jest niezadowolająca. W ostatnich latach wydano zaledwie kilkanaście pozycji wspólnie z wydawnictwami innych państw.

NRD

W połowie czerwca w Halle, w mieście w którym urodził się słynny kompozytor Jerzy Fryderyk Haendel, zorganizowano 6-dniowy festiwal, mający już 25-letnią tradycję. Charakter jubileuszowy tej imprezy akcentowało nawiązanie do 50 rocznicy Robotniczego Festiwalu Haendelskiego zorganizowanego przez niemiecką klasę robotniczą w czerwcu 1926 r. w Lipsku. Koncertem festiwalowym towarzyszyła 2-dniowa sesja naukowa z udziałem muzyków i muzykologów z 20 krajów.

Wśród wielu wykonawców z zagranicy znalazła się warszawska Opera Kameralna.

Narody Afryki odnoszą coraz większe zwycięstwa w walce o wolność i niezawisłość, o ostateczną likwidację kolonializmu, rasizmu i dyskryminacji polityczno-ekonomicznej Afrykanów. Jednocześnie zachowawcze koła USA aktywizują wysiłki w celu utrzymania swoich pozycji na kontynencie afrykańskim i zahamowania dalszego rozwoju ruchów narodo-wyzwoleńczych.

Jednakże rosnący opór narodów tego kontynentu zmusza dyplomację Stanów Zjednoczonych do manewrów, których widomy znakiem była niedawna podróż sekretarza stanu Kissingera do niektórych krajów Afryki, podczas której propagował on nową politykę Waszyngtonu w Afryce. Ale, jak utrzymuje postępowa część afrykańskich państw, ta „nowa” polityka reprezentuje stare cele: ochronę interesów monopolistycznego kapitału USA i narzucenie Afryce wygodnego dla kursu rozwoju politycznego i ekonomicznego.

Podróż sekretarza stanu USA po Afryce — pisał komentator polityczny tunezyjskiego tygodnika „Jeune Afrique” — spotkała się z oznakami niechęci ze strony państw afrykańskich, niechęci tym bardziej nieprzyjemnej dla Waszyngtonu, iż ujawniła się ona nawet w tych stolicach, które uważa się za prozachodnie.

Nigeria a następnie Republika Wybrzeża Kości Słoniowej, nim jeszcze Kissinger rozpoczął swą podróż, oświadczyły że nie zamierzają go przyjąć. A już w trakcie podróży dowiedział się Kissinger, że z powodu choroby głowy państwa, Ghana odwołuje jego wizytę. Waszyngton oświadczył, że chodzi tu o dyplomatyczną chorobę i oskarżył Moskwę o „wywieranie nacisku” na Akre.

Był to mocny cios wymierzony w prestiż USA. Mimo pochwalnych mów pod adresem Kissingera w Lusace, Nairobi i Kinszassie „nowa” amerykańska polityka w Południowej Afryce nie zyskała poparcia Afrykanów.

Kissinger zdemonstrował pojawiające się pogłoski o gotowości USA w okazyjnym celu do pomocy wojskowej wywoleńczym ruchom Południowej Afryki. Dodał on, że Stany Zjednoczone wola użyć ekonomicznych i politycznych wpływów, żeby spowodować „ewolucję” reżimów rasistowskich. Pierwszym krokiem na tej drodze jest zwrócenie się, jeszcze w tym roku, do Kongresu z propozycją o zmianę poprawki Bearda, co pozwoliłoby USA kupować rodezyjski chrom z pominięciem rezolucji ONZ o ekonomicznych sankcjach wobec Rodezji. Pozostałe pozycje planu Kissingera zawierają, między innymi, takie oto wnioski: Waszyngton wypowiada się za przekazaniem władzy w Rodezji w przeciągu najbliższych dwóch lat w ręce

afrykańskiej większości, zaleca Amerykanom opuszczenie tego kraju, zaleca turystom amerykańskim zaniechania podróży po Rodezji, zapewnia pomoc afrykańskim uciekinierom.

W Kenii, Zairze, a także w niektórych innych krajach, Kissinger występował w roli „dobrego wujaszka”, skłonnego do dolarowych podarunków. Jednakże w większości stolic które odwiedził, wyraźnie zabrzmiły słowa, że obecnie jedyną drogą rozwiązania problemu rodezyjskiego jest walka zbrojna. Jeśli chodzi o problem rodezyjski, Kissinger oświadczył, że stanowisko USA jest identyczne, jak stanowisko Wielkiej Brytanii, która, przypomnijmy, ponosi odpowiedzial-

ność za sytuację powstałą w Południowej Afryce i przez 11 lat nie podjęła żadnych sankcji przeciwko rasistom. „Proszę dać broni tym, którzy walczą przeciwko 200 tysiącom rasistowskich ciemleńców” — zwrócił się do Kissingera.

„Broń? O tym nie może być mowy. Jesteśmy przeciwni mieszaniu się zagranicy w sprawy Afryki” — odpowiedział Kissinger, który kilka miesięcy wcześniej wysłał tony broni Holdenowi Robetro (przywódca rozłamowej organizacji-FNLA w Angoli — red.). W kołach zbliżonych do rządu Republiki Południowej Afryki z zainteresowaniem spotkały się zapewnienia, że USA nie okażą pomocy wojskowej ruchom narodo-wyzwoleńczym. Ogólnie rzecz biorąc, oświad-

ności murzyńskiej zdecydowanie osądził podróż Kissingera, jako próbę zasiania rozdzwieleń w Organizacji Jedności Afrykańskiej. Niektóre wydarzenia z przeszłości nakazują nam czujność — pisał komentator „Jeune Afrique”. Przypomnijmy dla przykładu Bliski Wschód, gdzie dokonał swoich „historycznych czynów” Kissinger, rozpalając waśnie między arabskimi przywódcami i pozostawiając przy sposobności w płaszkach pustyni nową ofiarę iluzji — Sadata.

Komentator polityczny „Le Monde Diplomatique” zwraca uwagę, że strategia Waszyngtonu nie traci z pola widzenia Afryki.

Przed zakończeniem wojny w Wietnamie USA wydały około miliarda do-

larów na wojskową pomoc dla Afryki. Ponadto w latach 1946 — 1973 kraje afrykańskie otrzymały w formie uzbrojenia i pomocy technicznej ponad miliard dolarów.

Program pomocy wojskowej opracowany przez Pentagon przewidywał w pierwszej kolejności sformowanie regularnych oddziałów wojska i policji. W 1975 roku 16 żołnierzy armii zairskiej skierowano do szkoły wojskowej „zielonych беретów” w Fort-Brage, w USA. Stacjonuje tam 181 dywizja wojsk powietrzno-desantowych.

Właśnie ta dywizja została wysłana w 1965 roku do Kongo, gdzie współdziałała w tłumieniu powstania w Stanleyville.

Po dziesięcioletnich przygotowaniach do działań wojskowych na Oceanie Spokojnym, marynarka wojenna USA orientuje się obecnie na Zatokę Perską, Afrykę i Morze Śródziemne. Dziewięćdziesiąt tysięcy ludzi przygotowanych do prowadzenia wojny w dżungli, przezbiera się i przygotowuje do walk na pustyni.

Kontynent afrykański, z jego drogami morskimi wokół Afryki, jest obiektem globalnej strategii amerykańskiej floty morskiej.

Ościennie potępiając reżim w Południowej Afryce, USA zaczęły w tajemnicy zmiekczać swoje stanowisko wobec Republiki Południowej Afryki. Głównym celem tego posunięcia jest stworzenie dobrego klimatu dla dużych inwestycji USA i innych krajów Zachodu w tym rejonie świata. Oto dlaczego w przeciągu długich lat Stany Zjednoczone popierały portugalski reżim kolonialny, dostarczając mu sprzęt obrony i pomocy technicznej do walki z afrykańskimi ruchami narodo-wyzwoleńczymi.

Dziś rząd Forda uważa za celowe podzielenie Afryki na trzy „strefy”. Zgodnie z tym podziałem, kraje Północnej Afryki są „przedłużeniem świata arabskiego” na Bliskim Wschodzie. Państwa Afryki Tropikalnej na południe od Sahary ocenia się w zależności od stopnia ich rozwoju ekonomicznego oraz ilości i rodzaju surowców ważnych strategicznie. Wreszcie południe Afryki uznaje się za „strefę krytyczną”, w której, mimo oficjalnych oświadczeń, wspólnotę interesów ekonomicznych zarówno USA, jak i krajów zachodnioeuropejskich cementują więzi z Pretoria.

Od jednego końca kontynentu do drugiego, amerykańscy dyplomaci proponują afrykańskim państwom trzymanie się „umiarowanej linii” w zamian za zachodnie kapitały i rynki.

Przy tym wszystkim głównym zadaniem amerykańskiej dyplomacji na tym obszarze pozostaje nadal zabezpieczenie „stabilizacji” i przeciwstawianie się „wpływowi komunistycznym i rewolucyjnym”.

W ten sposób — pisał komentator „Le Monde Diplomatique” — chodzi tu o typową politykę kolonialną, którą inspirowały wielkie amerykańskie monopole.

JERZY CZECH



WE WŁOSZECH I PORTUGALII POD ZNAKIEM WYBORÓW

Niedzielne wybory we Włoszech i perspektywę tego kraju po 20 czerwca skupiają uwagę komentatorów politycznych. Piszący te słowa nie zna jeszcze ich wyników, ale chce przypomnieć Czytelnikom o co, w tych przedterminowo rozpisanych, wyborach toczyła się walka.

Od 30 lat rządziła Włochami, w różnych układach koalicyjnych lub sama, Partia Demokracji Chrześcijańskiej. Jednakże jej wpływy nieustannie malały. W 1948 roku w wyborach do parlamentu uzyskała 48,5% głosów, w 1972 roku już tylko 38,8%. Ubiegłoroczne wybory regionalne ujawniły dalsze odwracanie się od niej wyborców — procent głosów znalazł do 35,3. O przyczynach tego stanu, związanych z sytuacją wewnętrzną kraju, pisaliśmy już na tym miejscu.

Inna krzywka, wciąż wznosząca się, ilustruje rolę i autorytet Włoskiej Partii Komunistycznej. W ciągu 20 lat procent głosów oddanych na jej kandydatów wzrósł z 22 do 27,2 w ostatnich wyborach parlamentarnych. We wspomnianych natomiast powyższej wyborach regionalnych WPK zbliżyła się do „bariery władzy”, sięgając trzeciej części wszystkich głosów (33,4).

Trzecia formacja polityczna Włoch

— Włoska Partia Socjalistyczna uzyskała w wyborach 1972 roku 12% głosów.

Pytanie, które teraz najczęściej zadawali obserwatorzy życia Włoch — prowadziło się przede wszystkim do tego, czy lewica łącznie osiągnie większość, a więc 51%. Komuniści nie koncentrowali jednak uwagi na tej lekcji, gdyż niezależnie od wyników wyborów rysowali perspektywę rządu demokratycznego porozumienia, możliwie jak najszybszego. Pierwotnie, o którym tuż przed 20 czerwca mówił w wywiadzie dla „Corriere Della Sera” Enrico Berlinguer, było utracenie przez chadecję części głosów na rzecz partii lewicy, utrzymanie pozycji partii pośrednich, a więc powstanie sytuacji, w której chadecja „przestałaby być partią dominującą, decydującą o wszystkim”. Sekretarz generalny WPK wyraził ponadto życzenie, aby demokracja chrześcijańska stała się tym, czym twierdził się, że jest: partią rzeczywistie demokratyczną, a także bardziej laicką.

Program wyborczy Włoskiej Partii Komunistycznej zmierzał więc do utworzenia rządu, opartego o jedność różnych sił politycznych i nurtów ideowych, zdolnego do wyciągnięcia kraju z kryzysu i podjęcia dzieła odno-

wy. Taka była stawka tegorocznych wyborów.



Przeniesmy się teraz do innego kraju, pozostając przy temacie wyborczym. W nadchodzącą niedzielę Portugalczycy wybierać będą swego prezydenta. Walka o tę najwyższą godność w państwie toczy się z pewnością między czterema kandydatami.

Pierwszym z nich jest szef sztabu sił zbrojnych — gen. Antonio Eanes, poparty przez Partię Socjalistyczną, Ludowo-Demokratyczną i Centrum Demokratyczno-Społeczne. Jak z tego wynika, cieszy się on również sympatią prawicy.

O fotel prezydencki ubiega się także obecny premier rządu — admirał Pinheiro de Azevedo, który przeszedł dość znaczną ewolucję polityczną — od radykalnego lewicowca do polityka niechętnego lewicy.

Kandydatem Portugalskiej Partii Komunistycznej jest Octavio Pato, więzień faszystowski, który dał się poznać szerszemu ogółowi w czasie przygotowywania nowej konstytucji.

Skrajna lewica wystawiła kandyda-

ture majora Otelo de Carvalho, znanego z okresu rewolucji kwietniowej, ale później represjonowanego.

W tygodniu przedwyborczym najwięcej szans daje się pierwszemu z kandydatów. Kto zasiądzie na fotelu prezydenckim ma dla Portugalii zasadnicze znaczenie, bowiem prezydent mianuje premiera. Od niego więc zależy, jaki będzie pierwszy po rewolucji stały gabinet portugalski. Przypomnijmy, że po kwietniowych wyborach najmocniejszą partią — mimo utraty części głosów — jest Partia Socjalistyczna, a na drugim miejscu lokuje się Partia Ludowo-Demokratyczna, która również pomniejszyła stan posiadania. W odróżnieniu od wymienionych przybyło głosów i mandatów w parlamencie Portugalskiej Partii Komunistycznej. Jednakże socjaliści chcieliby rządzić samodzielnie, a PPD zainteresowana jest powołaniem gabinetu bez komunistów. Ci ostatni natomiast gotowi są do współpracy, która przyspieszyłaby wyjście kraju z dużych trudności gospodarczych.

Jak widać, również w przypadku Portugalii najbliższe wybory zadecydują o kierunku politycznym kraju.

W. SŁAWSKI

# ALE to się opłaca

Dalszy ciąg ze str. 5

Byłem ciekaw ich zarobków. Czy odpowiada prawdzie opinia, że kto pracuje w „Sirze”, ten „jest panem”. Chciałem także wiedzieć, czy będzie ekonomicznie się decydującym argumentem dla tych młodych 16-18 letnich dziewcząt, które co roku zjawiają się przed drzwiami z napisem „Kadry”. Poprosiłem na rozmowę najmłodszą pracownicę, zatrudnioną tu od 12 maja br. Nazywa się Ewa Piaskowska i ma ukończoną szkołę podstawową plus dwuletni kurs krawiecki.

— W moim angażu mam wpisana sumę 3.600 złotych. Ale teraz, zanim się wciągnę, zarobię około 1.200. Szyje na stebnowce. Myślę, że po trzech miesiącach osiągnę pełny zarobek.

— Kto panią namówił do przyścia do „Siry”?

— Nikt, sama chciałam. Zaraz po podstawówce zapisałam się na kursy krawieckie, bo to była droga do „Siry”. Udało się, jestem bardzo zadowolona.

5.

W „Sirze” każdy nowy — obojętnie po jakiej szkole tu trafił: po zasadniczej czy po średniej — musi rozpocząć pracę od produkcji. A jeśli zdarza się, że dyrekcja chce kogoś awansować, to znaczy przekwalifikować na pracownika umysłowego — wówczas zaczynają się prawdziwe korowody. No bo kto się zgodzi zrezygnować z czterech czy pięciu tysięcy na rzecz zaszczytnego tytułu referenta z pensją 1.800 zł?

Każdy młody człowiek pojawiający się w „Sirze” zostaje otoczony należytą opieką zarówno ze strony Rady Zakładowej, organizacji młodzieżowej jak i przez organizację partyjną. Zazwyczaj odbywa się spotkanie, wyjaśniające: młody człowiek musi wiedzieć, co jest co w zakładzie.

W swoich planach zakładowa organizacja partyjna umieściła bardzo istotny i ważny punkt: humanizacja pracy. Chodzi o związanie tych najmłodszych z zakładem nie tylko na ustawowe osiem godzin, ale o wytworzenie w nich związków uczuciowych. Raz w kwartale każda OOP zaprasza imiennie bezpartyjnych na zebrania otwarte. To daje dobre wyniki. Kiedy bowiem zaczęto szukać rezerw, właśnie na takich zebraniach padały najbardziej trafne propozycje.

W wyniku gospodarskich dyskusji

znalazło się 38 mln złotych (35 mln — to dodatkowa produkcja, 3 mln — to podniesienie wskaźnika pierwszego gatunku). Jest to dużo, ale by sięgnąć po te rezerwy należało przełamać i pokonać dziesiątki przyzwyczaję i uprzedzeń.

Ale to się opłaca. Mając taką załogę można myśleć o wyrobach markowych. „Sira” walczy o to na wszystkich rynkach krajowych i zagranicznych. Nowe technologie, nowe przedzie, nowe maszyny, wzrost kwalifikacji załogi — wszystko to gwarantuje wysokie miejsce w przemyśle lekkim. Co roku „Sira” zajmuje czołowe miejsca we współzawodnictwie o miano najlepszego eksportera. Są nagrody i medale z Lipska, Moskwy, Poznania, Warszawy. Są dyplomy i wyróżnienia.

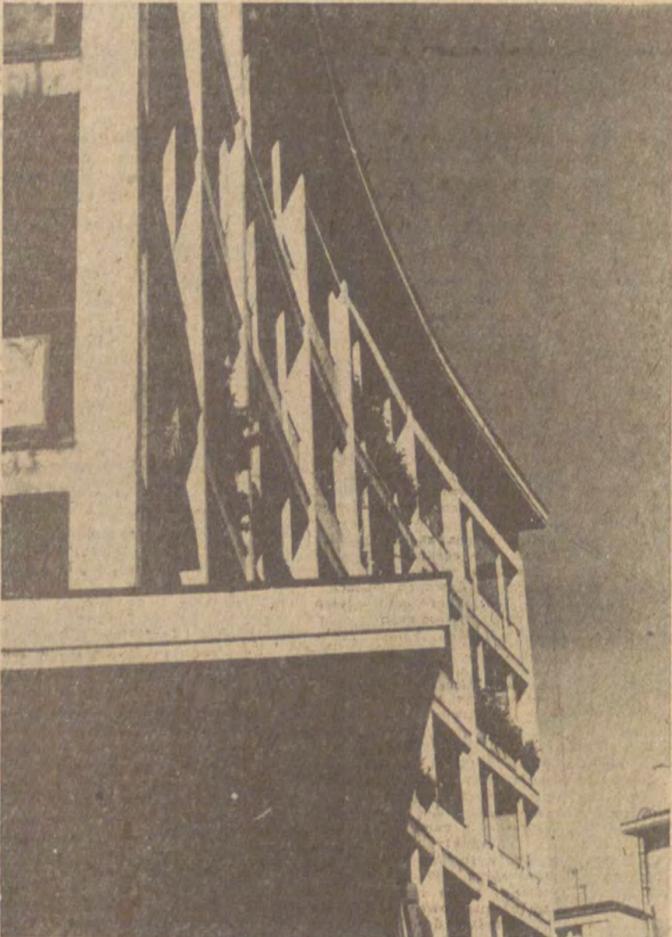
Jeszcze nie jest za dobrze z nowoczesnością w zakładzie, z rozwiązaniami organizacyjnymi. Fabrykę wybudowano „na wczoraj”, zapominając, że u nas „dzień jutrzejszy bywa częściej wczorajszym”. Wzrasta produkcja, ale zakład pozostaje ten sam. Np. w krojowni potrzebne są 20-metrowe stoły, a mieszczą się zaledwie 10-metrowe.

W programie rozwojowym „Siry” przewidziano wybudowanie nowego zakładu konfekcyjnego dla 960 osób, całkowicie zostanie zmodernizowany transport wewnątrzzakładowy, a sterowaniem produkcją i zarządzaniem zajmą się komputery.

„Sira” chce dać miastu jeszcze jeden prezent: żłobek, przedszkole i dom socjalny. Będzie w nim nowoczesny ośrodek zdrowia, zakładowa stołówka, szkoła dziewiarska, biblioteka, czytelnia, sala widowiskowa. Dla miasta załoga „Siry” wybuduje na osiedlu „Dziwiarz” nowy przystanek dla komunikacji miejskiej, będzie uczestniczył przy wznoszeniu Domu Młodzieży oraz basenu. Obojętnie właśnie tu, w tych murach, wzięła swój początek klasa robotnicza Sieradza, pierwsze bloki zastępowo ludźmi przybyłymi z podziemi wsi...

„Sira” to wielotysięczna rodzina i jak to w rodzinach bywa — są czasem spory i właśnie, są rozgoryczenia czy zawody, jednakże więzy wspólnej pracy okazują się w konsekwencji silniejsze, silniejsze bywa przywiązanie do swojej maszyny, do hali, do siedzących obok koleżanek.

EUGENIUSZ IWANICKI



Przez cztery dni kibice mieli niebywałą ucztę: półfinałowe i finałowe rozgrywki Mistrzostw Europy w piłce nożnej. Żal tylko, że wśród najlepszych europejskich drużyn piłkarskich zabrakło naszej jedenastki. Mam jednak nadzieję, że reprezentanci Polscy, przygotowujący się w Zakopanem do Olimpiady, znaleźli trochę czasu i gremialnie zasiedli przed telewizorami, aby popatrzeć, jak w Zagrzebiu i Belgradzie grają inni. I mam nadzieję, że nasi reprezentanci widowisk tych nie traktowali relakso-wo, a wyciągnęli z tego, co działo się na boiskach Zagrzebia i Belgradu również pouczające wnioski dla siebie. A działo się na tych stadionach wiele.

Przed wszystkim „zasłużona kara” spotkała tych, którzy byli zbyt nieufni: Holendrów i Jugosłowian. Holendrzy buńczucznie zapewniali, że przełamają dobrą passę czechosłowackiej drużyny i nie strzelili tej drużynie ani jednego gola. Jedyną przecież bramką, jaką w meczu z drużyną CSRS zapisał na swoje konto holenderscy piłkarze, była bramka samobójcza. Znacznie już lepiej spisali się w meczu z Jugosłowianami o brązowy medal i trzecie miejsce w Europie. I tak wicemistrzowie świata okazali się zaledwie trzecią drużyną Eu-

ropy. Ale czy to jest ten cały turniej zakończył. „Gdybanie” jednak jest zawsze tylko zabawa. Liczyć się powinny fakty, a te są takie, jakie są. Inaczej — Jugosławia zajęła w Mistrzostwach Europy czwarte miejsce.

Czy sytuację Holendrów można nazwać kryzysem? Jeden z holenderskich piłkarzy powiedział, że z formą bywa tak, jak z pogodą. We wtorek w Zagrzebiu świeciło słońce, w środę lał deszcz. Holendrzy pokonali wysoko Belgów, z drużyną CSRS — przegrali. Ale czy sprawa sprowadza się tylko do formy? Sytuacja polskiego

BOGDA MADEJ

## „CZARNY KOŃ” PIERWSZY PRZYCHODZI DO METY

ropy. A buńczuczni Jugosłowianie, którym marzyło się mistrzostwo, musieli zadowolić się dopiero czwartym miejscem.

W opiniach sprawozdawców przewijało się stwierdzenie, że drużyna CSRS niespodziewanie pokonała wicemistrzów świata. Niespodziewanie, ale zastrzeżenie. Takie opinie trochę zaskakują. W końcu piłkarze CSRS od dłuższego czasu nie przegrali ani jednego meczu. Z Holendrami poczuli też sobie śmiało i wcale nie wykazywali ani tremy, ani respektu przed drugą drużyną świata. Grali nowoczesnie, śmiało, z fantazją i — co najważniejsze — skutecznie. Takim stylem prezentowali od dawna. Dlaczego więc mieli wygrać niespodziewanie?

Na stadionie w Zagrzebiu, w meczu z drużyną CSRS, Holendrzy nie pokazali dobrego futbolu. Znacznie lepiej grali już w trzy dni później z reprezentacją Jugosławii. I tu stała się rzecz zadziwiająca. Holendrzy pozbawieni swoich „gwiazd”: Johana Cruyffa (dwie żółte kartki), Johana Neeskensa (czerwona kartka) i Wima van Hanegena (czerwona kartka) zgrali znacznie lepiej i — co ważniejsze — znacznie skuteczniej, bo w końcu, bo w dogrywce, ale przecież zdobyli brązowy medal i jako tako uratowali swój piłkarski honor.

Jugosłowianie mieli ogromną ambicję. Marzył im się tytuł Mistrza Europy 1976 i w końcu nie ma w tym nic dziwnego. Wręcz przeciwnie. Każdy zespół powinien stawiać przed sobą taki cel. To mobilizuje siły, zmusza do myślenia na boisku, do skutecznego rozgrywania piłki. I Jugosłowianie w pierwszej połowie meczu z drużyną RFN grali wprawdzie żywiołowo, ale skutecznie. Zgubiło ich zarozumiałstwo. Prowadząc do przerwy 2 : 0, spojeli — jak to się mówi — na laurach, uznali, że prawo gry w finale mają już w kieszeni i teraz można zagrać „pod publiczke”. A Jugosłowianie — i piłkarze i kibice — bardzo to lubią. I zgrali. I przegrali. Zespół RFN dowiódł, że jest drużyną dojrzałą, spokojną, o ciągłe ogromnych możliwościach.

Oglądając oba mecze Jugosłowian można było dojść do przekonania, że w Jugosławii jest wielu zdolnych piłkarzy, ale kraj ten nie posiada reprezentacyjnej drużyny. Jugosłowianie byli nadmiernie indywidualizmi, przyzwyczajonym jednak do zespołowej — aż żal powinno być tej ogromnej ilości piłek, które prosiły się o dobitkę. Gdyby Jugosłowianie potrafili grać bardziej zespołowo, to

zespołu, który przeszedł poważny kryzys, dowodził, że rzecz chyba w czymś innym, że nie można zbyt długo grać tymi samymi atutami. Takiej drużynie mogą zdarzyć się znakomite mecze i wysokie zwycięstwa, ale o jej aktualnym poziomie powinno się sądzić na podstawie tego, jak gra „na co dzień”. Polacy odnieśli piękny sukces w Chorzowie, właśnie nad Holandią. Jednakże o poziomie gry polskiego zespołu trzeba było sądzić na podstawie z trudem wywalczonego zwycięstwa nad Finami i na podstawie remisów nad odradającym się zespołem Italii.

Warto też zwrócić uwagę na taktyczne posunięcia trenerów zespołów CSRS i RFN. Obaż oni w decydujących momentach rzucili do gry zawodników, którzy nie zawiedli. Rozstrzygnięcie dla CSRS wypracował dwukrotnie wprowadzony do gry w 91 minucie Frantisek Vesely, który najpierw wypracował dogodną sytuację strzelecką, a później sam strzelił gola. Podobnie stało się w meczu RFN — Jugosławia, kiedy debiutant Dieter Mueller zdobył trzy bramki. Takich posunięć próbowali trenerzy zespołów Jugosławii i Holandii, ale bez większych sukcesów. Nasuwa mi się tutaj pytanie: czy w naszym zespole taki manewr byłby możliwy? Niewątpliwie, dobrze, przebojowi napastnicy znaleźliby się. Ale przecież rzecz nie polega na tym, aby tylko weszli na boisko. Rzeczą przede wszystkim w tym, żeby zostali przez grających zespół zaakceptowani w taki sposób, aby to dobiegowało do zmiany wyniku. A to — tak mi się przynajmniej wydaje — możliwe jest wtedy, kiedy drużyna gra zespołowo, a nie składa się tylko z wybitnych piłkarskich indywidualności.

Osobnym rozdziałem w Mistrzostwach Europy 1976 roku był niewątpliwie zespół piłkarski CSRS. I nie tylko dlatego, że ostatecznie czechosłowaccy piłkarze zostali mistrzami Europy. Ale też i dlatego, że nim zagrani na stadionach Belgradu i Zagrzebia, to przedtem wyeliminowali Anglię i ZSRR. Już w mistrzowskim turnieju wyeliminowali Holandię. Po dość długiej przerwie czechosłowacki zespół powrócił na międzynarodową arenę i był to powrót w bardzo ładnym stylu. Przerwa trwała od 1962 roku, kiedy to czechosłowaccy piłkarze zdobyli tytuł wicemistrza świata.

Triumfalny powrót czechosłowackiego zespołu na międzynarodową piłkarską arenę jest niewątpliwie zasługą Vaclava Jezeka, który przed trze-

ma lata zaopiekował się reprezentacją CSRS i wyprowadził ją na czoło Europy. Czechosłowaccy piłkarze grali wspaniale. Był to — w niedzielnym meczu — nieustanny atak i to nie tylko przez 90 minut a przez 120. Był to nieustanny atak obu zespołów. Już się wydawało, że powtórzy się historia z meczu drużyny RFN z Jugosławią. Zespół CSRS prowadził 2 : 0 i Niemcy zaczęli powoli, ale systematycznie dążyć do wyrównania. Udało im się to pod sam koniec meczu. I tradycją stało się zadość. Wszystkie mecze tegorocznych Mistrzostw Europy rozstrzygały się w dogrywkach. Jakże mogłoby być inaczej w meczu finałowym? Ale historia z poprzedniego meczu drużyny RFN nie powtórzyła się. Zespół CSRS nie popełnił błędów Jugosłowian. Zresztą też i piłkarze CSRS grali inaczej. Prezentowali dojrzały, nowoczesny, ofensywny futbol. Byli równorzędnym partnerem dla mistrzów świata. Nieustannie dążyli do decydującego rozstrzygnięcia. Do tego samego dążyli również piłkarze RFN. I tak dogrywka nie przyniosła wyniku. Nadal na stadionie w Belgradzie był remis. Zdecydowały dopiero rzuty karne.

Od samego początku stawałam po cichu na zespół CSRS, choć wielu kibiców już z góry rozdzieliło mistrzowskie tytuły. Oczywiście w sposób stereotypowy, bo jakżeby mogło być inaczej. A więc typowano tak, jak to było na mistrzostwach świata: RFN, Holandia, Jugosławia i CSRS. I stało się inaczej. Toteż, kiedy o mistrzow-

skim tytule miały zdecydować rzuty karne, zrobiło mi się trochę głupio i żal piłkarzy CSRS. Tu już nie decydowała walka na boisku, o wszystkim mógł rozstrzygnąć przypadek. Byłoby niesprawiedliwe, gdyby po tak pięknej walce czechosłowaccy piłkarze mieli zadowolić się tylko wicemistrzostwem. I stała się sprawiedliwość. Mistrzami zostali piłkarze CSRS.

To, że wszystkie mecze rozstrzygały się w dogrywkach, dowodził tylko, jak wyrównany był poziom, jak trudno było pokonać rywali. I dowodził też, że piłkarze CSRS dorównali poziomem i ambicją najlepszym nie tylko w Europie, ale najlepszym na świecie. Pokonali przecież mistrza i wicemistrza świata. Z trzecią drużyną świata — byłymi zdobywcami srebrnego medalu — nie mieli żadnych kłopotów. Ale czy długo utrzymają taką formę? Czy wyciągną właściwe wnioski z losu innych zespołów, które błysnęły i zgasły? Mam tu na myśli — oczywiście — naszych przelanych „biało-czerwonych”. Ale nie tylko. Życję jednak zespołowi CSRS, aby wytrwali i aby jeszcze nie jeden raz odnieśli takie piękne sukcesy.

Jeśli piłkarze CSRS byli najbardziej interesującą drużyną na boiskach Zagrzebia i Belgradu, to jednym z najlepszych piłkarzy był niewątpliwie Ivo Viktor — bramkarz drużyny CSRS. Czterokrotnie został wybrany w swoim kraju piłkarzem roku. Ostatni raz w roku ubiegłym. W reprezentacji występuje przeszło 60 razy. Jest piłkarzem Dukli. Ma 34 lata, żonę i dwoje dzieci. 182 cm wzrostu, 80 kg wagi, silnie zbudowany, ale bardzo zwinny, spozstrzegawczy i odznaczający się znakomitym refleksem. W niedzielnym meczu wielokrotnie potwierdził te opinie. Gdyby nie Ivo Viktor rezultat niedzielnej spotkania w Belgradzie byłby może zupełnie inny. Wszyscy piłkarze CSRS grali wspaniale, ale Ivo Viktor zachwycał bezbłędną obroną.

Grę piłkarzy CSRS wielokrotnie porównywałem do pamiętnego występu Polaków, kiedy to szli przebojem przez stadiony RFN, eliminując kolejne różne piłkarskie stawy. Dziś, gdy słucha się takich porównań, żal się człowiekowi robi. I gdyby była polskim piłkarzem, przygotowującym się w Zakopanem do Olimpiady, to minionej niedzielnej wieczoru siedziałabym przed telewizorem i plakała rzewnymi łzami. Ze wstydu! Nasi narodowi piłkarze rozgromili 5:2 drużynę Hutnika. W bardzo złym stylu. I jak tu nie plakać?

## ZDARZENIA i ZWIERZENIA

# U PROGU KANIKULY

No i wreszcie lato. Kalendarzowe i prawdziwe. Pojawiają się zatem pierwsze oznaki kanikuli — „Przekrój” pisze o wagonach restauracyjnych „Warsu” i rozpoczyna Encyklopedię Warszawy. Ten nowy cykl „Przekroju” wymyślił zapewne znakomity popularyzator spraw kulinarnych i stołu, Jan Kalkowski, za co mu chwała.

Niebawem na łamach prasy rozpocznie się nieustający serial polskich publikacji na temat Polskich Kolei Państwowych, pociągów kolonijnych, oraz zarządzą gazetę od rubryki: „Dzieci piszą z kolonii i obozów”. Ta żelazna pozycja letniej prasy świadczy o tym, że kierownictwa placówek bardzo dbają o publicy. Opowiadano mi, że kolonia, która nie „zaliczy” sobie w gazecie pochwalnego listu, jest potem źle widziana w oczach zwierzchnictwa. Na kolonii może być le-

piej lub gorzej, ale list z wyrazami uznania dla „dyrekcji”, rady zakładowej i pani kierowniczką jest obowiązkowym rytuałem. W ten sposób dzieci uczą się szacunku dla słowa drukowanego.

Jeśli już o dzieciach i nauce mowa, to jakże pominąć znakomitą komedię Klary Feher, nadaną przez telewizję. Przypomnę, jeśli ktoś nie widział. Otóż dyrektorka szkoły przyjmuje nową uczennicę tylko dlatego, że jest ona jakoby chrześcijańską pani ministrowej. Galeria szkolnych typów przedstawionych w tej węgierskiej komedii jest jakoś dziwnie znajoma, jakby akcja nie działa się pod Budapesztem, lecz gdzieś pod Łodzią czy Warszawą.

W Łodzi natomiast idzie w Teatrze Nowym sztuka Jana Pawła Gawiłki „Egzamin”. Też przedstawia galerię postaci znanych z autopsji. A w prasie

społeczno-kulturalnej trwa dyskusja nad projektem programu języka polskiego w szkole dziesięcioletniej. Czytam te uwagi (krytyczne głównie) podpisane nazwiskami znanych historyków literatury, krytyków, pisarzy, publicystów i zadaje sobie pytanie: „Jeśli ci znani ludzie zgłaszają krytyczne uwagi, to kto, u licha jest autorem programu?” Okazuje się, że bliżej nie znany p. Frycie.

Jak to zwykle w kanikule felietoniści biorą na warsztat literatów. Jerzy Urban pisze w „Szpilkach”: „Wśród książek wybitnych, dobrych czy przyzwyczajonych od dawien dawna nie ma takich, które by wpłynęły na klimat życia, widzenie świata czy choćby obyczaj, nastroj społeczny lub modę. Dawniejszymi czasami literatura miewała taką siłę”. Dalej ubolewa Urban, że choć znaczenie literatury jest mizerne, to jednakże

literaci są bardzo liczącymi się ludźmi.

Jerzy Urban ma wiele racji, choć oczywiście są to sprawy dość skomplikowane, ale może jest w tym zjawisku pewna doza sprawiedliwości. Jeśli literatura bywa brana za hetkę-petelkę, to może słusze jest, że z literatami czasem się trzeba liczyć.

Mało kto jednak liczy się z telewizjami, których (jak podaje Urban) jest niepomiarne więcej niż czytelników książek. Artysta Stockinger, występując przed wielomilionową widownią, oświadcza, że go boli gardło, więc niechętnie zaśpiewa, a jako prezenterzy telewizyjni występują nadal takie indywidualności, jak pani Danuta Szczęsńska czy (ostatnio) p. Andrzej Brzoza, który usiądź przed kamerą porządnie nie potrafi, a na dodatek pyta rozmówców: „jakie podejmujecie tematyki?”

Nie da się ukryć — jesteśmy u progu kanikuli.

WIDOK

## LEWYM OKIEM

# CO CZYTASZ?

Minęły Dni Oświaty, Książki i Prasy, skończyły się Międzynarodowe Targi Książki w Warszawie. Pomiedzy stoiskami na tych Targach chodzi się z wielkim szumem w głowie, z poczuciem absolutnej bezsilności wobec takiego ogromu myśli i słowa, zamkniętego w setkach tysięcy tomów — a to wszystko napisano i wydrukowano w ostatnim roku, to tylko jeden rok! Jakże tu zmierzać swoje znikomą możliwość do takiego oceanu, jakże wierzyć w wartość tego mikro-mikronu, jaki zdolamy uszczęknąć z wiedzy o świecie?

Jednocześnie czytamy sobie różne statystyki. Na przykład o tym, że w Warszawie na tysiąc mieszkańców przypada 2059 książek, a w województwie warszawskim — 1551 książek. W skali kraju będzie niewątpliwie dużo mniej, może około tysiąca. Czyli jedna książka na głowę. Ponieważ mój własny skromny księgozbiór liczy ponad tysiąc tytułów, wynika z tego, że odrobiłem normę za tysiąc miesz-

kańców, ale wynika też, że obywateli tego kraju nie ma ani jednej książki i nawet tego nie zauważa!

Inna statystyka podaje, że statystyczny Francuz kupował w 1972 roku sześć razy więcej książek niż statystyczny Polak. Wiemy też z wielu źródeł, że nakłady we Francji są przeważnie niskie, a wiele niższe — przeciętnie biorąc — niż u nas. A zatem ogromna ilość tytułów, bo skąd by inaczej Francuz kupił sześć książek na jedną kupioną przez kogoś z nas? A zatem — dalsza konsekwencja — wielkie różnicowanie księgozbiórów poszczegól-nych obywateli. Tam dopiero można stwierdzić: powiedz mi co czytasz, a powiem ci kim jesteś. Wypada też westchnąć: jakże bogaty asortyment muszą mieć stale tamtejsze księgarnie!

Jeszcze inna statystyka: według Przekroju co trzeci dorosły Polak bierze książkę do ręki, co czwarty chodzi do kina i teatru, ale prawie wszyscy korzystają z radia i telewizji.

No tak, myśmy przeskoczyć niektóre etapy ewolucyjnego rozwoju kulturalnego. Duża część naszego społeczeństwa przeszła przecież nieomal bez zatrzymania z analfabetyzmu do oglądania telewizji. Nawyki czytania nie miały kiedy się wykształcić. Trudno powiedzieć, czy wyrównamy tę statystyczną lukę, czy czytelnictwo będzie rozszerzać swe obszary w rejonie gospodarki wolnym indywidualnym czasem. Trudno powiedzieć, bo i z szerokiego świata napływają wiadomości o stosunkowym kurczeniu się zainteresowania książką na rzecz innych środków informacji. Tymczasem jesteśmy niewątpliwie krajem telewizyjnym, spędzamy przed szklanymi ekranami większość naszego wolnego czasu, kto wie czy nie więcej niż Amerykanie, którzy zresztą mają do wyboru wiele programów, nie są więc narażeni na tak radykalną uniformizację postaw jak to się obserwuje u nas. Był taki czas, kiedy podobno snobowaliśmy się na nie-

posiadanie telewizora. Sam nie miałem go i nie mam, nigdy mi nie przyszło do głowy, że to snobizm. Teraz już w publicystyce uzgodniono, że to dziwactwo i w ogóle zapóźnienie, nie wykluczone więc, że jestem dziwakiem, ale takim nieszkodliwym i niekaralnym.

A teraz jak byśmy tak połączyli cytowane wyżej dane statystyczne w jeden obrazek i spojrzeli nań lewym okiem: dorośli Polacy stanowią mniej więcej 65 proc. ludności. Książki kupują tylko dorośli. Jeżeli jedna książka przypada na głowę mieszkańca, to na dorosłą głowę przypadnie 1,3 książki. Ale tylko co trzeci dorosły sięga po książkę. Czyli co trzeci dorosły posiada cztery książki, a dwóch pozostałych nie ma ich wcale. Za to wszyscy spędzają parę godzin dziennie przed telewizorami, znają wszystkie programy od Kalużyńskiego po Dobranocę, od meczu hokejowego po życie w kropki wody i po Lipińską-show. I wszyscy wszystkim skarżą się nieustannie, że na nie czas i nie mają, a już czytanie — skąd? Ani czasu, ani głowy, moja pani...

ĆWIEK

## PROPOZYCJE

# UWAGA, POGRZEB!

Sam tego chcieliśmy, nie ma więc co wydziwiać i narzekać. Kiedyś czasy były spokojne. Po świecie kursowali posłańcy. Bywało pędziło rozstawnymi końmi, bywało nie spieszyli się zbytnio. Mielij czas na podziwianie krajobrazów, na zatrzymanie się w gospodzie, bo przecież posłańca też człowiek i possiło się i wypocząć sobie. Krażyły wiadomości po świecie w sposób wolny. Ludzie przez to byli zdrowsi, nikt ich nie narażał na wstrząsy, nerwy mieli silniejsze. A nawet wtedy, gdy posłańca pędził dzień i noc, aby donieść królowi czy księciu, że jego wojsko pobite sromotnie zostało, to nawet po teatralnym wejściu posłańca do królewskiej czy książęcej komnaty z okrzykiem: — Nasi pobici! — był jeszcze czas na opamiętanie się, na rozważenie i przygotowanie się do odwetu.

Dziś wszystko jest inaczej. Dziś siedząc w wygodnym fotelu możemy spokojnie patrzeć, na przykład, na stadion piłkarski w Zagrzebiu, gdzie w strugach deszczu samotnie przegrywają wiceministrowie świata. To samo zresztą widzą Holendrzy u siebie w kraju i niedługo kibica szlag trafi. — Aż się nie było telewizji, to w czasie musiałoby upłynąć na posłańca dojeżdżającego konno do Rotterdamu, Amsterdamu i Hagli, a stamtąd rozesyłający się wieści do innych miast i do wsi Holandii o sromotnej klęsce ich narodowej drużyny. Do tego czasu każdy Ho-

lender mógłby rozważyć sobie wszelkie ewentualności i być przygotowanym na wszystko, tak jak na przykład nasi kibice są przygotowani na wszystko i nawet na dalsze klęski naszej narodowej reprezentacji.

Ala nie. Ludziom się zachciało wynalazków, postępu i w ogóle. No i marzy, albo nie mamy. Sam zresztą nie wiem, co jest lepsze, a co gorsze. Na przykład dzwoni w domu telefon. Człowiek myśli sobie: — ki diabeł? kogo znów diabeł podkusił, aby mi spokój odbierać? Albo człowiek nie ma telefonu i psy wieszają na poczcie, że niedorozwinięta, a on nie może załatwić pilnej sprawy i zadzwonił właśnie teraz do Kowalskiego.

Rozsądny człowiek nawet by się cieszył z tego, że nie ma telefonu. Rozsądny człowiek wychodzi sobie spokojnie z domu. Na pocztę zdąży, gdzie weźmie do ręki blankiet oraz długopis i wykaligrafuje do Kowalskiego depeszę. To też wynalazek, z którego trzeba korzystać. A przy tym po drodze i już na samej poczcie człowiek może zastanowić się, czy rzeczywiście sprawa jest tak ważna, czy może poczekać z nią do jutra, jeszcze raz wszystko rozważyć. No i ten spacer, możliwość oddychania świeżym powietrzem z domieszka spalin i pyłów. Ale zawsze.

Telegraf daje człowiekowi ogromne możliwości i głośniejszym niż wysokość telegrafu nad telefonem. Na przykład: Jaś z Kochał się w Małgosi. Gdyby

oboje mieli telefon, to po pierwsze — nikt już nie mógłby z niego skorzystać, bo godzinami rozmawialiby, wznajęłoby się nieustająca miłość. A po drugie — to i Jaś i Małgosia cierpieliby bardzo, gdyby nie mogli się porozumieć telefonicznie, bo któregoś z nich nie byłoby w domu. I zaraz te domysły: — gdzie on (ona) się włóczy? A tak można pobiec na pocztę i nadać depeszę do ukochanego (do ukochanego). I radość sprawi się najbliższej osobie i w domu wiele zamieszania.

Moja babcia zawsze nie lubiła dostawać telegramów, bo utrzymywała, że zwiastują one nieszczęście. W dawnych czasach bowiem ludzie korzystali z telegrafu tylko w losowych przypadkach, jak ktoś komuś umarł, urodził się, albo jak ktoś z rodziną żenił się dość niespodziewanie. Dziś telegraf służy do komunikowania się w różnych innych sprawach, na przykład: handlowych, służbowych, informacyjnych... Ale na poczcie niektórzy nadal myślą, że telegrafuje się tylko w szeregach przypadków losowych.

Piotr M. z Łodzi jest kompozytorem i z racji tej utrzymuje liczne kontakty z różnymi ludźmi i instytucjami, ale nie posiada telefonu. Wobec tego różni ludzie i różne instytucje, kiedy chcą skontaktować się z Piotrem M., wysyłają do niego telegram. I taki telegram wysłano do niego w marcu 1976 roku. Treść telegramu była następująca:

„PROSZE O PILNY KON-TAKT TELEFONICZNY 4/03 TELEFON 8913 SOŁTYSIK”.

Na poczcie pracują ludzie myślący. Powyższy tekst zinterpretowano jako zawiadomienie o pogrzebie. W związku z tym postanowiono na telegramie odczytać stempel: „POGRZEB”. A doręczyciel — doręczyciel nie odbierający telegram, że zawiera on złą wiadomość. W użyciu było relanium i kropki na serce.

W związku z tym mam pytanie: Kto upoważnił urzędników pocztowych do naruszenia tajemnicy korespondencji? W moim przekonaniu urzędnik przyjmujący tekst telegramu powinien natychmiast o nim zapomnieć. Fakt, że telegram nadaje się otwartym tekstem nie upoważnia nikogo do interpretacji tego tekstu i czynienia z nim tego, co się poczcie podobą. A już w żadnym wypadku nie upoważnia doręczyciela, aby bawił się w doręczyciela, gdyż jemu tekst depeszy nie powinien być znany w ogóle. Dlatego też pomysł ze stemplem „POGRZEB” uważam za makabryczny i karygodny.

Cytowana depesza nosi następujące symbole: „88281Y LO/9” i „88293CQ LO C”. To do wiadomości poczty.

MARCIN RODAK



## MAFIA

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

Związała ten ostatni film reżysera Pietro Germiego, oparty na powieści „La piccola pretura” G. G. Loschiara — Sycylijska, który przez wiele lat pracował na rodzinnej wyspie w aparacie sprawiedliwości i zna doskonale problem mafii, cieszył się u naszej publiczności ogromnym powodzeniem.

Czytelnicy mogli też dowiedzieć się wiele o mafii włosko-amerykańskiej z kilku powieści, z których największy rozgłos uzyskał „Ociec chrzestny” Maria Pazo i film Francisca Coppoli oparty na tej powieści.

Mafia jest wrzodem życia społecznego w Italii — napisał Adam Ostrowski — autor wielu książek o przestępczości. Właśnie w tym czasie w prasie pojawiły się informacje o przestępstwach mafii, a w ostatnich dziesięcioleciach, a w widoku kinowców, mogli poznać kilka znakomitych filmów na ten temat, jak: „Pod niebem Sycylii”, „Salvatore Giuliano” lub „W imieniu prawa”.

# magazyn



Foto: K. Grossmann

## „TROJKA” RUSZA W DROGĘ

Czym jest „Trojka”? To paradoksalne, ale na razie więcej możemy powiedzieć o członkach tego zespołu niż o jego działalności, bowiem chodzi o grupę znanych już wokalistów i instrumentalistów, którzy dopiero niedawno zdecydowali się wspólnie propagować rosyjski romans. A zaczęło się to wszystko od słuchania Sliczenki i Bogolajenki, którzy zainspirowali młodych muzyków do szukania nowych wzorów wykonawczych dla tradycyjnej pieśni rosyjskiej. H. Stefan'akowi, Z. Modelskiemu i L. Orlew-

czowi zdawało się nawet, że dość szybko opanowali styl romansu. Przyszło jednak otrzeźwienie: doszli do wniosku, że są zbyt statyczni, że brak im tego co określa się potocznie mianem nerwu. Do tego krytycznego spojrzenia wiele wniosła współpraca z reżyserem Kazimierzem Oracem, który romansem rosyjskim pasjonował się od dawna i potrafił „Trojkę” zarazić swoim entuzjazmem.

— Ale przedstawmy bohaterów po kolei.

— Leszek Orlewicz jest nie tyl-

ko utalentowanym pianistą, jest dziś już także, a może przede wszystkim, kompozytorem, którego twórczość obejmuje obok piosenki, muzykę filmową i teatralną, a także małe formy symfoniczne. Za swoje szczególne osiągnięcie uważa „Pastorałki polskie”, kompozycję do wierszy Jerzego Harasymowicza wielokrotnie odtwarzaną w programie radiowym. Orlewicz studiował wokalistykę w klasie śpiewu profesor Niny Jurdzińskiej, wstąpił także na Wydział Kompozycji Wyższej Szkoły Muzycznej w Poznaniu i to solidne wykształcenie muzyczne przydaje mu się teraz w jego działalności twórczej i odtwórczej. Przez pewien czas kierował zespołem „A Vista”, prowadził także własny zespół instrumentalny, a są to na pewno doświadczenia przydatne w tym rodzaju działalności, której podjęła się „Trojka”.

Kolejny członek zespołu Zdzisław Modelski, absolwent PWSM w Łodzi w klasie doc. Zenona Płoszaja jest skrzypkiem znanym z dobrego warsztatu, który doskonalił podczas lat pracy w Łódzkiej Filharmonii, Polskim Radiu, wreszcie w Teatrze Muzycznym w Łodzi, gdzie ostatnio był koncertmistrzem. Jego technika wykonawcza zaspokoić może wymagania najzgorzalszych melomanów.

Wreszcie Henryk Stefan'ak, któremu chcielibyśmy poświęcić nieco więcej uwagi, bo chyba zbyt mało mówi się w naszym mieście o tym wytrawnym wokaliście. Podobnie jak Modelski jest on absolwentem PWSM w Łodzi, ukończył klasę śpiewu adjunkta Zdzisława Krzywickiego i wkrótce po zakończeniu nauki został laureatem I nagrody na Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze (1965 r.). Od tamtej pory wielokrotnie koncertował w ZSRR, jego tenor niezły jest znany radzieckiej publiczności, dla której występował w repertuarze popularnym i rozrywkowym, dał się także poznać jako odtwórca romansu. Rzecz charakterystyczna: Stefan'ak wielokrotnie występo-

wał w TV radzieckiej i niemieckiej, nigdy natomiast nie zaproszono go do studia w rodzinnym mieście, mimo że zostawał pod opieką profesjonalnego przedsiębiorstwa jakim jest Estrada Łódzka. Cóż, potwierdza się raz jeszcze przysłowie, że najtrudniej być prokiem u swoich, chociaż śpiewa w skali dwóch oktaw a jego repertuar obejmował od piosenki, poprzez pieśni neapolitańskie, najtrudniejsze partie arii operowych.

Cóż mówią o sobie sami bohaterowie? Przypnijmy, że początki „Trojki” nie były łatwe, bo na wykonawców romansu czeka wiele pułapek, przy pozornej łatwości bardzo trudno jest znaleźć właściwy dystans do oryginału. Dużo słuchali, nie tylko nagrań instrumentalnych, ale także wokalistów. I to osłuchanie miało decydujący wpływ na osiągnięty teraz styl wykonawczy. Osiągnęli bowiem to, co jest istotą rosyjskiego romansu: spontaniczność, świeżość a przede wszystkim szczerą wypowiedź.

Nic dziwnego, że Łódzką „Trojką” zainteresowało się Zjednoczone Przedsiębiorstwo Rozrywkowe w Warszawie dając jej swoją firmę i mecenat. Dzięki zrozumieniu mogą eksperymentować i każdy romans w wykonaniu „Trojki” ma nową, interesującą aranżację — od bitu po najstarsze wzory romansu rosyjskiego i cygańskiego.

„Trojka” korzysta z bogactwa rosyjskiej muzyki ludowej, ale sięga też po dzieła ambitniejszego oparte o teksty Jesienina i Puszkina z muzyką pisaną przez wybitnych kompozytorów.

Słuchałem niedawno „Trojki” w pałacyku TPPR i chociaż lubię romans zaskoczyła mnie przecież czystość techniczna i swoboda interpretacyjna wykonawców. Toteż wróżę nowemu zespołowi duże powodzenie, zwłaszcza że przygotowuje się do recitalu, który najpełniej udowodni jego walory.

JERZY DARNAL



## NAUM ŁABKOWSKI

### BEZPŁATNY DODATEK

Zona wyjechała w delegację i właśnie wtedy zdecydowała się zająć remontem mieszkania.

Ustaliłem plan najkonieczniejszych prac i zamówiłem usługi w Wielobranżowej Spółdzielni „Przyszłość Rzemieślnicza”.

O oznaczonej godzinie zabrzmiał dzwonek i w moich drzwiach stanął uśmiechnięty, młody mężczyzna. Jedną ręką ścisnął kuferek, drugą — trzymał za kolarz wrywającego się malca.

— Dzień dobry! — dziarsko przywitał się. — My z „Przyszłości Rzemieślniczej”.

— Dlaczego was aż dwóch? — wyraziłem zdziwienie.

— Proszę nie rozumieć tego dostownie! — zastrzegła mi mężczyzna. — Spółdzielnia zatrudnia jedynie mnie, a że żona pracuje i przedszkole zamknięte z powodu remontu, muszę chłopca prowadzić ze sobą, jako taki bezpłatny dodatek do usług.

— Dziś koleją na tatę. Jutro będę z mamą — nieoczekiwanie wtrącił się malce.

— Sieriożka nie będzie nam przeszkadzał — uspokoił mnie rzemieślnik. — Śładzie w kącie, dostanie książkę z obrazkami i posiedzi tak aż skończy prace.

Odprowadziłem chłopię do jadalni, posadziłem w fotelu i dałem mu do ręki album „Stworzenie świata” Jena Effela.

Następnie, nieświadomy chmur gromadzących się nad moją głową, usiadłem i zacząłem kierować pracą stolarza.

— Tata — rozległ się głosik z jadalni. — A dlaczego ci panowie i panie są gołi?

Ojciec Sieriożki spojrzął na mnie z ukosa, mruknął: „Rozpusztnik” i poklusował do jadalni.

— Jeśli się rozebrali, znaczy, że tak trzeba — posłyszałem poważne wyjaśnienie. — Może wybierają się do łaźni, czy co?

Po chwili stolarz wrócił i zabrał się do pracy. Ale zaledwie wziął do ręki pilkę, kiedy z jadalni dobiegł moich uszu brzęk szkła.

— Proszę sobie nie przeszkadzać — uspokoiłem czulego papę, który drgnął i chciał pędzić do synka.

Sieriożka siedział w fotelu i chrupał krakersy.

— Wszystko w porządku — raportowałem po powrocie. — Malce zajada.

— Dobrze, że mu pan dał coś do jedzenia — pochwilił mnie ojciec. — Gęba zajęta i nie będzie nas nudzić pytaniami.

— Niczego mu nie dawałem — wyjaśniłem. — Wyciągnął z kredensu patere.

Mistrz dziwnie spojrzął na mnie, odłożył narzędzia i wolno poszedł do stołowego pokoju. Podążyłem za nim.

Ale w pokoju nie było ani chłopca, ani albumu, ani nawet krysztalowej patery.

Zajrzeliśmy do kredensu, pod stół, za portierę. Wyciągnęliśmy szuflady stołu. — Na próżno.

Wówczas z sypialni doleciał dźwięk tłuczonego szkła. Rzuciliśmy się na ratunek.

Na środku pokoju leżały resztki zyrandola, ale Sieriożki ani śladu. Ani w szafie, ani pod kanapą, ani za fotelami.

Staliśmy bezradnie się rozglądając, kiedy z nocnego stolika runął na podłogę telefon.

— Jesteś — triumfalnie zakrzyknął ojciec. Położył się na dywanie i przeciągnął ręką pod łóżkiem.

— Jest — powtórzył. — Tylko ręka go nie sięgnę. Łódzka za niskie. Czym by go tu?...

— Mam spinning — przypomniałem sobie.

— Ooo! — rzekł z aprobatą. — Przyniosłem wędkę.

— Pojedźmy na rybki! — oznajmił stolarz.

— Pojedźmy! — zgodził się ukryty pod łóżkiem malce.

— Będę rybakiem — ciągnął majster. — A gdzie rybak?

— Tuf — pisał zachwycony Sieriożka.

Widać, zaczęła się zabawa, którą obaj znali nie od dziś.

— „Rybak” wrzucił pod łóżko żyłkę zakończoną haczykiem.

— Zaczep rybkę za pasek — pouczył synka. — Tylko ostrożnie, żeby nie porwał spodni.

— Gotowe! Ciągnij! — dysponowała „rybka”.

Wędka wróciła do moich rąk.

— Pan kręcił! — szepnął stolarz. — Tylko ostrożnie, a ja go będę ubezpieczać, żeby sobie nie zrobił krzywdy.

Po kilku obrotach kolowrotka żyłka wyprężyła się, jak pod ciężarem sporego sumu. Wreszcie ukazał się Sieriożka, cały zakurzony, ale promieniący szczęściem. W jednej łapce ścisnął zerwany przewód telefoniczny, w drugiej resztki ulubionej przez żonę krysztalowej patery.

Stolarz popatrzył na mnie z odrazą.

— Ależ tu u pana kurz. Muszę iść do pralni z ubraniami dziecka — mruknął tonem wyrzutu. — Jutro przyjdzie do pana kto inny skończyć robotę.

Szkoda jedynie, że miało ono miejsce tuż przed goszczynnym występem teatru z Zadaru, który zaprezentował na scenie „Pinokla” w trzy dni później. Jugosłowianie — nie po raz pierwszy zresztą odwiedzający nasze miasto — sięgnęli tym razem do klasyki wystawiając „Baśń o czarze Saltanie” Aleksandra Puszkina z wykorzystaniem muzyki Mikołaja Rimskiego-Korsakowa. Sztuka, znana z pewnością sympatykom teatru lalek, nawet w serbo-chorwackiej wersji językowej (czego, rzecz jasna, nie udało się uniknąć) mogła się podobać, tym bardziej, że wykorzystywano na scenie jednocześnie i lalki, i operujących nimi żywych aktorów. Na pochwałę zasłużyła także — moim zdaniem — interesująca funkcjonalna scenografia.

W czasie swojej wizyty w Polsce Teatr Lalek z Zadaru odwiedził również Kraków. Tomaszów Mazowiecki i Pabianice, a po występie w Łodzi wyjechał na festiwal do Bielska-Białej. Warto dodać, że przyjaźń i współpraca tego jugosłowiańskiego teatru z łódzkim „Pinokiem” trwa od kilku lat, w czasie których nasz teatr występował także na ziemi jugosłowiańskiej. Z wzajemnej wymiany doświadczeń zadowolone są obydwie zespoły.

— Dzień dobry! — przywitała się. — Czy wzywał pan technika do naprawy telefonu?

Nie wzywałem wprawdzie, ale się ucieszyłem.

— Proszę! — otworzyłem szeroko drzwi i w tej chwili oczom moim ukazał się stojący obok niej Sieriożka.

— Zaraz wezmę się do roboty, tylko widzi pan, mąż pracuje, a że przedszkole zamknięte z powodu remontu, muszę chłopca prowadzić ze sobą, jako taki bezpłatny dodatek do usług.

— Dziś koleją mamy — potwierdził Sieriożka i popędził do jadalni.

Miękką osunąłem się na dywan.

Przełożył:  
BOHDAN PIĄTKOWSKI

## LALKOWA KONFRONTACJA

W połowie maja dwukrotnie scena łódzkiego Teatru Lalek „Pinokio” była miejscem ciekawych wydarzeń. 15 maja br. zespół teatru z ul. Kopernika wystąpił z kolejną premierą, którą był „Kot w walizce” Henryka Sappira i Genadja Cyferowa, w przekładzie Eugeniusza Kotera. Przedstawienie reżyserował Włodzisław Dobromiński, scenografię opracował Zbigniew Burkacki, a muzykę — Walerian Pawłowski. Tytułowego bohatera kreował Jan Ptaszyński, mając jako partnerów aż sześćoro adeptów.

Niestety, widowisko nie było zbyt udane, w czym głównie winą nie najlepszego scenarzysty i przekładu, choć przynajmniej trzeba, że i wykonawcy częściowo dostosowali się do ich poziomu. Wydaje się jednak, że teatr kierowany przez dyr. Martę Janic ma w swoim repertuarze sporo ciekawych widowisk (vide: ostatnie premiery), toteż jedno półkniecie nie rzutuje na ogólną sytuację artystyczną „Pinokla”.

Szkoda jedynie, że miało ono miejsce tuż przed goszczynnym występem teatru z Zadaru, który zaprezentował na scenie „Pinokla” w trzy dni później. Jugosłowianie — nie po raz pierwszy zresztą odwiedzający nasze miasto — sięgnęli tym razem do klasyki wystawiając „Baśń o czarze Saltanie” Aleksandra Puszkina z wykorzystaniem muzyki Mikołaja Rimskiego-Korsakowa. Sztuka, znana z pewnością sympatykom teatru lalek, nawet w serbo-chorwackiej wersji językowej (czego, rzecz jasna, nie udało się uniknąć) mogła się podobać, tym bardziej, że wykorzystywano na scenie jednocześnie i lalki, i operujących nimi żywych aktorów. Na pochwałę zasłużyła także — moim zdaniem — interesująca funkcjonalna scenografia.

W czasie swojej wizyty w Polsce Teatr Lalek z Zadaru odwiedził również Kraków. Tomaszów Mazowiecki i Pabianice, a po występie w Łodzi wyjechał na festiwal do Bielska-Białej. Warto dodać, że przyjaźń i współpraca tego jugosłowiańskiego teatru z łódzkim „Pinokiem” trwa od kilku lat, w czasie których nasz teatr występował także na ziemi jugosłowiańskiej. Z wzajemnej wymiany doświadczeń zadowolone są obydwie zespoły.

# POWIĘKSZENIA

### TRUDNOŚCI JĘZYKOWE

Sprawozdawca z meczu lekkoatletycznego w Mediolanie ubolewał publicznie przed słuchaczami polskiej telewizji: „Niestety, proszę państwa, spiker zawodowy ogłasza komunikaty po włosku, a tego języka nie znam”.

Mniej więcej wiadomo, że w Mediolanie mówi się po włosku. Szkoda, że nikt w redakcji sportowej TVP na to nie wpadł wcześniej.

W dalszym ciągu transmisji odnotowaliśmy inne ciekawostki. Oto tekst sprawozdawcy: „Zawodnik dziękuję trenerowi, który jest przecież pierwszym ojcem jego sukcesu”. Zastanowiło nas to numerowa ojciec, ale drugi sprawozdawca natychmiast zripostował: „Naszego zawodnika trenuje jego prawdziwy ojciec”. No tak — w tym wypadku numeracja traci sens.

### Z POLSKIEGO NA NASZE

Komentator sportowy „Expressu Piastrowanego” pisze: „brak dopływu utalentowanego zapiecha”.

Czytelnikom mniej biegłym w sportowej polszczyźnie wyjaśniamy, że to stylistyczne cudactwo oznacza po prostu, że brak młodych utalentowanych zawodników.

### PRZYMUS

W telewizyjnym „Pegazie” wykpiono niektóre teksty drukowane na łamach miesięcznika „Scena”. Zrobiono to metodą — prostą, łatwą i nieprzyjemną. Nie wyrokujemy o wartości owych utworów, ale odpowiednią interpretacją wykpić można zarówno „Ode do młodości” jak i dramaty Różewicza.

Na koniec skarcono naczelnego „Sceny” mówiąc: „Chcieliśmy o tych sprawach porozmawiać z redaktorem naczelnym, ale niestety nie mogliśmy znaleźć czasu”.

Dziwne to zaiste obyczaje. Czyżby uczestnictwo w „Pegazie” było obywatelskim obowiązkiem, że uchylanie się od niego jest publicznie karane? A może naczelną „Sceny” nie chciał rozmawiać w atmosferze i tonie narzuconym przez materiał filmowy? Myślmy, że ma do tego prawo.

K. D.